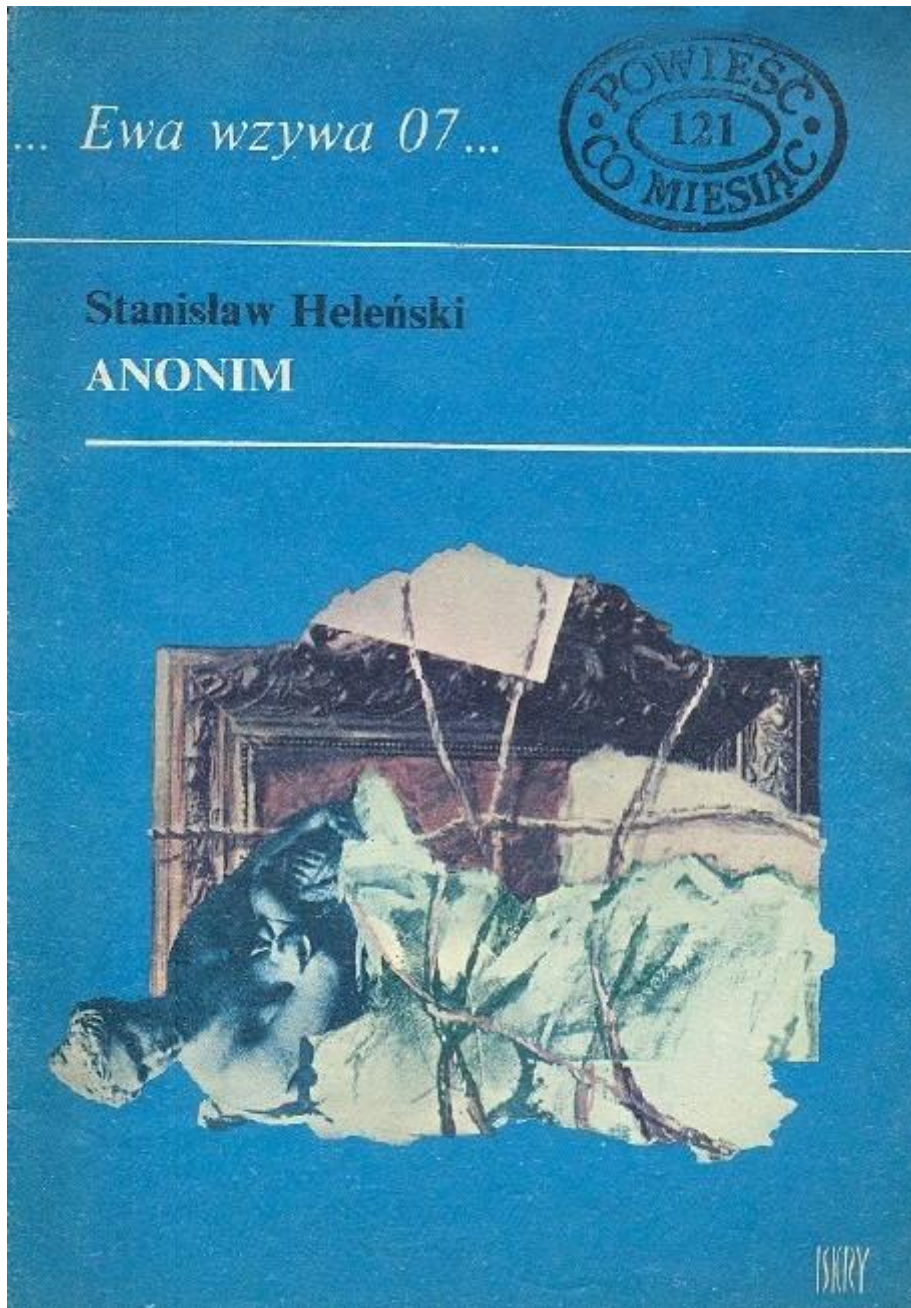


Ewa wzywa 07... Ema wzywa 07...

Stanisław Heleński

Anonim



O tej porze roku Sopot trzeszczał w szwach. Tłumy wczasowiczów ciągnęły na plażę i molo. Kawiarnie, restauracje, bary szybkiej obsługi były przepełnione. Niejeden zastanawiał się, gdzie ci ludzie śpią, co ich ciągnie właśnie tu, do nadmiernie zatłoczonego kurortu morskiego. Karczewski patrzył na kolorowy ludzki tłum. Siedząc na tarasie kawiarni, osłonięty kolorowym parasolem przypatrywał się wczasowiczom podążającym na molo. Co jakiś czas wyławiał znajome twarze, pozdrawiał uśmiechem jakieś osoby, jakby kogoś wypatrując.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Za późno na plażę, za wcześnie na obiad pomyślał.

Zaczął odczuwać trudy kilkugodzinnej jazdy z Warszawy, dyl świetnym kierowcą, ale najbardziej mężczyła go powolna jazda w długich kolumnach samochodów, bez możliwości wyprzedzania. Tak było i dzisiaj. Teraz, gdy siedział w rozparzonym, zalanym ludzkim mrowiem miasteczku, czuł nadchodzącą senność. Zamówił jeszcze jedną kawę z koniakiem i zaczął myśleć o wszystkich sprawach, które miał w ciągu kilku dni pozalać.

Przede wszystkim musiał znaleźć Sobolewskiego. Gdzie go licho nosi? — zastanawiał się, próbując przypomnieć sobie miejsca, w których najprędzej mógł go spotkać. Nic ulegało wątpliwości, że Sobolewski przyjechał tu, żeby zarobić. Tłum wczasowiczów dysponujących wolnym czasem, liczni goście z zagranicy — to była dla niego okazja nic do pogardzenia. Był zły, że on, „człowiek z branży”, musi uganiać się za tym „Studentem”. „Studencik”? — zaśmiał się ironicznie. Ten pseudonim szybko przylgnął do Zygmunta Sobolewskiego, a on sam przyjął go obojętnie.

I gdzie go szukać w tym upiornym mrowisku ludzi spragnionych wypoczynku?! To przecież niemożliwe!

Sięgnął po aktówkę i raz jeszcze sprawdził kopertę z adresem zawierającą list polecający od Dragona. Dyskretnie wyczuł palcami plik banknotów. Całe trzydzieści tysięcy złotych polskich, starannie zabezpieczonych grubą przepaską. Myśl, że wszystko może wziąć w łeb, jeżeli nie spotka Sobolewskiego, nie dawała mu spokoju.

A jeżeli list polecający nic wystarczy? Jeżeli nie zdoła uzyskać obrazu?

Dokończył pośpiesznie koniak i gestem zniecierpliwienia przywołał kelnera. Po uregulowaniu rachunku szybkim krokiem poszedł pod otrzymany adres. Po kilkunastu minutach stał przed piętrową willą osłoniętą zielenią drzew. Dostępu do niej broniło wysokie ogrodzenie zakończone na górze drutem kolczastym. Na solidnej furcie widniało tylko jedno nazwisko. Raz jeszcze zerknął na kopertę. Wszystko w porządku. To tu. Nacisnął guzik lustrując jednocześnie całą posesję. Ciekawe, jakie „skarby” kryją te mury. Nie ma w końcu rzeczy niemożliwych. Uśmiechnął się na widok drutów telefonicznych. Zawsze to lepsze i łatwiejsze do wyłączenia niż kable. Ogrodzenie miało tę wadę, że przylegało na całej długości do ulicy, i tę zaletę, że niewidoczne było z domu. Kraty w oknach? — medytował w milczeniu.

— Pan w sprawie...? — głos z domofonu był tak wyraźny i naturalny, że Karczewski zmieszał się na moment.

— Od Mecenasa — powiedział i zaraz poprawił się. — Mam list od pana Wacława Dragona.

Usłyszał charakterystyczne brzęczenie i po chwili był już na schodach willi. Przyjęła go szczupła kobieta w średnim wieku. Dyskretnie, ale uważnie przyglądali się sobie,

— Proszę, niech pan spocznie — wskazała na fotele.

Usiedli w pomieszczeniu stanowiącym rodzaj przedpokoju. Nie było tu nic godnego uwagi, poza dębowymi schodami z poręczą zakończoną efektywnym węzłem w kształcie gaiki bosmańskiej. Karczewski był zdenerwowany, chociaż nie dawał tego po sobie poznać. Krótka lustracja mogła w przyszłości nieźle zaowocować. Gospodyni rzuciła okiem na list polecający, po czym przeszła do meritum sprawy.

— Tak, rzeczywiście, obraz jest do wzięcia, choć jestem z nim bardzo związana. Myślę, że dostaje się w dobre ręce...

— Pani warunki? — zapytał Karczewski.

— Pięćdziesiąt tysięcy...

Zapanowało milczenie. Karczewski sięgnął odruchowo po papierosy, ale zaraz się zreflektował:

— Czy można?

Kobieta nic nie odpowiedziała. Niezręczne milczenie przerwał Karczewski.

— Widzi pani... Jestem zdecydowany, ale nie przygotowany.

— Nie widzę problemu. Z tym, że jeżeli rzeczywiście panu zależy, to radzę nie zwlekać. Nie jest pan jedynym gościem w tej sprawie.

Targowanie się w ogóle nie miało sensu. Kupno nie wchodziło w grę. Karczewski zdawał sobie sprawę, że należy zachowując pozory kupna wynegocjować jak najkorzystniejszą cenę.

— Mam pewne wątpliwości co do warunków.

— Wybacz pan, ale tego się nie spodziewałam, tym bardziej że list polecający pisany jest ręką Mecenas.

Na dźwięk tego słowa Karczewski drgnął.

— Tak, to prawda — odparł pośpiesznie — ale ostateczna decyzja należy do rodziny. Zechce pani mnie wysłuchać... Zostawiam trzydzieści tysięcy, tyle mam. Na resztę podpiszę zobowiązanie. Kwestia dwóch—trzech dni... Najwyżej! Metrykę obrazu odbiorę regulując należność...

Na twarzy kobiety zaigrał ledwo dostrzegalny uśmiešek.

— Jak pan sobie życzy — odparła.

Dlaczego tak szybko się zgodziła? — zaniepokoił się odprowadzając kobietę wzrokiem. Mecenas w tych sprawach nigdy nie żartował, o falsyfikacie nie mogło więc być mowy.

Dokładnie obejrzał obraz, ocenił zestaw kolorów, załatwił formalności i zabrał się do pakowania płótna. W trakcie tych czynności właścicielka powiedziała:

— Gdyby się pan rozmyślił, to po tysiącu od dnia...

— Ależ oczywiście — skwapliwie przytaknął. Zerknął na zegarek. Było kilkanaście minut po pierwszej. Należało czym prędzej jechać do umówionego rzeczoznawcy, aby uzyskać metrykę obrazu. Był już

zapowiedziany telefonem z Warszawy, ale wiedział, że na tego typu dokumenty trzeba czekać. Teraz zależało mu bardziej niż kiedykolwiek na czasie. Każdy dzień zwłoki kosztował go tysiąc złotych. Przyspieszenie uzyskania świadectwa autentyczności też będzie kosztować. W dodatku kilka dni odliczyć trzeba dla Studenta.

W tym momencie uświadomił sobie, że odszukanie Sobolewskiego jest w tej chwili sprawą najważniejszą.

*

* *

Metrykę, czyli Świadectwo autentyczności obrazu, Karczewski miał w kieszeni. Kosztowało go to wiele zabiegów, a przede wszystkim pieniędzy.

Cóż, koszty być muszą — mruczał, choć w duchu gnębiła go wysokość zapłaconej sumy. Banda złodziei — powtarzał uparcie.

Postanowił już teraz cześć kosztów odbić sobie na Studentcie. Widział niejednokrotnie, z jaką łatwością ten niepozorny chłopak łapie podobieństwo malowanych postaci, jakie ma wspaniale wyczucie perspektywy, jak starannie dobiera i komponuje kolory. W tym wypadku chodzi tylko o proporcje i uchwycenie koloru. Ziemiański dwór przysypany śniegiem, nastrój dostojnej ciszy i — co wydawało mu się najtrudniejsze — koloryt zmierzchu, ot... cały Weissenhoff, który od kilku dni kosztuje go tak wiele.

Szukanie Studenta stawało się coraz bardziej uciążliwe i nerwowe. Co prawda szukał go tylko w Sopocie, bo takie miał informacje, ale przecież mógł on pracować w każdej innej miejscowości Trójmiasta. Karczewski pocieszał się, że obraz jest już sfotografowany, że odbitka wykonana zostanie idealnie w skali jeden do jednego, że kolory — tak zapewnił właściciel zakładu fotograficznego — będą te same, ale przecież Student kopiował tylko z oryginału. Używał szkła powiększającego, co pomagało w uchwyceniu pociągnięć pędzla. Fotografia tego nic oddawała. Można było co prawda sfotografować w dużym powiększeniu wszystkie fragmenty, ale wtedy traciło się obraz całości. Raz jeszcze przeszedł wzdłuż moła szukając w tłumie DCZUpłej, ascetycznej sylwetki Studenta. Na próżno. Zrezygnowany zawrócił do miasta, powłóczył się po ulicach, aż w końcu zdecydował się wstąpić do Grand Hotelu. Przywitał go tu przyjemny chłód. Kitka osób kręciło się po recepcyjnym holu. Karczewski skierował się do cocktail—baru. Nie zdążył tam dojść. Jego uwagę zwróciła grupka osób otaczających dwoje siedzących ludzi. Jeden z nich kończył rysunek twarzy młodej dziewczyny.

Nareszcie — wysapał Karczewski. Z uczuciem ulgi sięgnął po papierosa. Teraz mógł spokojnie obserwować Sobolewskiego. Przyglądał mu się z nie mniejszym zainteresowaniem, niż grupka stojących przy nim osób. Gdy pierwsza fala zadowolenia odeszła, zaczął liczyć dni, które minęły od zabrania obrazu.

To już prawie tydzień. Dzisiaj jest piątek, a Weissenhoffa mam od poniedziałku. Ciekawe, czy Student uwinie się z tym obrazem przez najbliższe dwa dni?

Rysunek był gotowy. Kilkanaście osób otaczających Sobolewskiego ożywiło się nagle. Słyszał głośne słowa pochwały w języku niemieckim. Jakiś Anglik z uznaniem kiwał głową. Najbardziej zadowolona była dziewczyna, która teraz z wypiekami na twarzy przyglądała się swej podobiznie. Po chwili ludzie zaczęli się rozchodzić, a miejsce naprzeciw Sobolewskiego zajął Karczewski.

— Tadeusz? — zapytał zdziwiony Student. Ten nic nie odpowiedział przyglądając mu się z uśmiechem i pewnym triumfem.

— Czy chodzi o podobiznę wielce szanownego pana? — próbował żartować Sobolewski.

— A cóż innego mogłoby mnie tu sprowadzać?

— Jestem droższy niż myślisz.

— Dogadamy się... Zbieraj tylko graty i idziemy. Jest sporo spraw do omówienia. Mam robotę dla ciebie.

— Jak widzisz, na brak zajęć nie narzekam!

— To coś poważnego! — nie dawał za wygraną Karczewski. — Nie będziesz żałować.

— Sądzisz, że jest mi tu źle? — nie ustępował Student. — Zarabiam w złotówkach i w dewizach. Któregoś dnia to...

—Przestańmy się targować — w głosie Karczewskiego była prośba. — Posłuchaj. Zygmunt, mam ławę Wcissenhoffa. W sam raz dla ciebie. Jak nie wierzysz, to tu jest metryczka.

Podał Sobolewskiemu złożony w czworo nowiutki arkusz papieru. Ten z wyrazem zaciekawienia zaczął go przeglądać.

Już jest dobrze — pomyślał Karczewski.

— To niedaleko stąd — powiedział. — Za kilka minut tam będziemy.

Gdy znaleźli się w skromnym pokoiku na poddaszu jednej z sopockich willi. Sobolewski aż zagwizdał ze zdumienia.

— Tylko siadać i malować! Wszystko jest z wyjątkiem tego Weissenhoffa.

Karczewski otworzył szafę i wyciągnął z niej obraz. Podeszli do okna przypatrując się mu w milczeniu.

— Ile to może być warte?

— Trzydzieści, trzydzieści pięć tysięcy — odparł pewnie Karczewski.

Spojrzeli na siebie. Sobolewski skrzywił usta w śmiesznym grymasie.

— Jak cię znam, nie będziesz za to brał złotówek.

— Skąd mogę wiedzieć, kto się trafi. Jest okazja, więc załatwiam co trzeba. Ale przysięgam Bogu, że nie mam kupca. Będzie obraz, to znajdzie się i kupiec.

Sobolewski kiwał z niedowierzaniem głową. Mechanizm był ten sam. On malował — Karczewski sprzedawał. Tak było kilkakrotnie i teraz historia się powtarzała. Zawsze czuł się oszukany otrzymując za kopię kilka tysięcy złotych w zależności od wielkości płótna, stopnia trudności. Orientował się w cenach i wiedział, ile można dostać za obraz, który Karczewski sprzedawał klientowi jako oryginał, dołączając doń metryczkę, ów haczyk, na który z reguły łapał się rzekomy miłośnik sztuki. Tym razem postanowił wyżej się cenić.

— Co proponujesz?

— Piątaka dla ciebie.

— Teraz dasz dziesięć, a po skończonej robocie dwadzieścia pięć procent tego, co wydusisz Z klienta.

— Zgoda! — ponuro odparł Karczewski. — Ale pieniędzy teraz nie mam.

— Jak to nie masz?!

— Całą sumę wyłożyłem na zastaw. Oddaję obraz i dostajesz pieniądze.

—Kiedy?

—Jak tylko skończysz kopiowanie...

— Jaką dajesz gwarancję wypłaty?

— Zygmunt! Nie podejrzewasz mnie chyba o jakieś szwindle. Zawsze przecież miałeś udział w zyskach.

Głos Karczewskiego pełen był pretensji. On sam udawał mocno zawiedzionego, choć był trochę zdenewrowany. Wiedział, że interes dojdzie do skutku, nie znał tylko jego ceny.

— A poza tym — ciągnął dalej — poza tym, rozmawiałem osobie z Mecenasem.

Popatrzyli na siebie uważnie, starając się przeniknąć jeden drugiego. Zygmunt wiedział, że Mecenas jest nie byle jaką postacią w światku ludzi pokroju Tadeusza Karczewskiego. Z luźnych rozmów domyślał się, że człowiek ten w dużym stopniu kieruje skupem i wywozem obrazów za granicę. W jego stajni był Karczewski, zwany przez swych kolegów „Elegantem”. Powodziło mu się niezłe: własnościowe mieszkanie, trochę biżuterii, volvo, konto dolarowe, a na co dzień sporo gotówki. Wszystko to spełniało jego marzenia o życiu dostatnim, wygodnym, a przy tym niebanalnym. Zawdzięczał to Mecenasowi. On wprowadził go w światek legalnych i półlegalnych marszandów. zlecając kupno lub sprzedaż najróżniejszych— obrazów, od czasu do czasu wysyłając za granicę, najczęściej do Wiednia. Paryża i Londynu w celu omówienia spraw. Zygmunt podejrzewał, że niektóre opisywane w prasie kradzieże są dziełem ludzi. Mecenas, ale nie miał na to żadnych dowodów. Nęciła go możliwość współpracy z tajemniczym i otoczonym zaporą dyskrecji Mecenasem. Powrót po rozpoczętych i rzuconych studiach z Warszawy do rodzinnego Bielska nie uśmiechał mu się. Miasto — owszem — dawało duże szanse zarobku, ale rodzaj pracy zupełnie mu nie odpowiadał. Co innego Warszawa — z jej, bądź co bądź, większymi możliwościami, z wakacyjną giełdą na Starym Mieście, z pewnymi siebie obcokrajowcami kupującymi cudaczne buble za pieniądze, za które żyć można było zupełnie niezłe całe tygodnie. Tylko w stolicy kręcili się „ludzie—instytucje” typu Mecenas, u których można było niezłe zarobić, a z czasem i urządzić się. Warszawski meldunek, jakieś durne, ale dobrze płatne chałtury, nie licząc oczywiście specjalnych zleceń — to wszystko mógł zapewnić Mecenas.

Dłuższe milczenie przerwał Sobolewski.

— Powiedzmy, że ci wierzę, ale chcę mieć gwarancję. Dasz mi świadectwo autentyczności.

Tego się Karczewski nie spodziewał. Złe ogniki zamigotały w oczach, zagryzł zęby i siląc się na obojętność zapytał:

— A jaką ja mam gwarancję?

— Sam zobaczysz!

— Kiedy?

— W niedzielę wieczorem możemy opijać gotowe „dzieło”.

*

* *

Właścicielka Weissenhoffa nie była zdziwiona zwrotem płótna. Uważnie przyjrzała się obrazowi z obu stron, po czym z kamienną twarzą wypłaciła różnicę wynikającą z umowy,

— I tak szybko załatwił pan sprawę?. Karczewski ze zdumieniem spojrzał na kobietę.

— Nie rozumiem...

Kobieta uśmiechnęła się pogodnie otwierając Karczewskiemu drzwi. Ten skłonił się w milczeniu i poszedł w stronę furtki, za którą czekał Sobolewski.

— Coś się stało? — zapytał widząc minę Karczewskiego.

— Boisz się, że cię wykiwam! — powiedział sadowiąc się za kierownicą swego volvo. — Taki jest nasz fach. Trzeba dużo wiedzieć, mieć dużo gotówki, dużo kontaktów, dużego nosa i duże szczęście. I być kutym na cztery nogi.

— I ty to mówisz? — zażartował Sobolewski.

— Powiedz mi lepiej, czego cię nauczyli na tym uniwerku? — ciągnął nie stropiony tym Karczewski.

— Właściwie niczego. Cała ta historia sztuki, to na początku rzeczywiście tylko historia. Więcej mi dawało włóczenie się po muzeach, niż te ich wykłady i ćwiczenia. Dobrze to dla belfrów, przyszłych konserwatorów, przewodników.

— Chciałeś powiedzieć, że to nie dla artysty?

— Daj spokój. Tadek.

— Co daj spokój? — przekomarzał się Karczewski. Dryg to ty w łapach masz. Gdybyś tak jeszcze miał trochę cierpliwości...

— To jeszcze nie to. W końcu jestem tylko kopistą. Taki — powiedzmy — żywy aparat fotograficzny.

— To już dużo. Z czasem obrośniesz w pióra, zaczniesz coś własnego malować. Posypią się zamówienia. Oglądałem cię w Grandzie. Zupełnie dobrze ci szło.

— Płacili dobrze, nie powiem.

— Ja nie o tym. Szybko łapałeś podobieństwo. Kilka kresek i już. Reszta była już właściwie dodatkiem. Usta, linia nosa. zarys brwi i właściwie wszystko.

— Nie jest to takie proste. Wszyscy ci patrzą na łapy. Każdy ocenia, bo to najprostsze. Podobny, albo niepodobny. Jest to przede wszystkim zwyczajna drobnica.

— Jak na początek i tak nieźle.

— Wiesz dobrze, że wolę malowanie i to z wielu względów. — W głosie Sobolewskiego zabrzmiała wymówka. — Kilka moich obrazów — ciągnął dalej — widziałeś i mówiąc prawdę liczę na większe zamówienia.

W tym momencie Karczewski zaczął uważać. Wydawało mu się, że doprowadził rozmowę do pożądanego momentu. Wiedział, że Studentowi zależy na kontakcie z Mecenaszem. Zdawał sobie sprawę, że wiecznie nie będzie mógł grać roli pośrednika. W jego interesie leżało utrzymanie tego stanu jak najdłużej. Czuł jednak, że cierpliwość Zygmunta kończy się, a nie chciał stracić tak zdolnego kopisty. Tym bardziej teraz, gdy jego rozmowy w Wiedniu mogły dojść do skutku. Spodziewał się po nich sporo. Gotówka powinna sypanąć jak nigdy, a poza tym widział szansę dla siebie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że wcale nie musi być związany z Mecenaszem. W ciągu kilku ostatnich lat nauczył się wiele, ponawiały kontakty. Te ostatnie z Wiednia i Zurychu mogły w przyszłości dobrze zaowocować.

— Nie wiem, o co ci chodzi — powiedział Karczewski. — Jak coś mam, to walę do ciebie. Nie możesz chyba narzekać.

Przerwał, jakby coś dusząc w sobie. Milczał chwilę, po czym powiedział:

— Jak by ci to powiedzieć... sądziłem, że nasza współpraca będzie się układać.

— Dlaczego „sądziłem”? — przerwał Sobolewski.

— Bo to przestaje się kalkulować. Stajesz się po prostu zbyt drogi.

— Tadek, pogadajmy szczerze. Nie masz mnie chyba za idiotę. Obiecujesz mi nie wiem co ze strony Mecenasa i na tym koniec. To wszystko są dorywcze fuchy. Więcej mam z ołówkowych podobizn. Mówisz o pieniądzach... Życie w Sopocie i to w sezonie kosztuje cholernie drogo, a poza tym mam kłopoty.

— Pokerek?

Zygmunt skinął w milczeniu głową.

Stanęli na przylegającym do drogi niewielkim parkingu. W dole słychać było uderzenia fal o kamienisty brzeg. Przed nimi połyskiwało w słońcu morze.

— Ładnie tu,

— Bo nie masz kłopotów — wycedził Sobolewski.

— Ile jesteś do tyłu?

— Prawie osiem na wysoki procent.

Karczewski spokojnie odliczył dziesięć tysięcy złotych i złożył na pół.

— Dasz świadectwo i jesteśmy kwita.

— Nic nie dorzucisz?

— Najwyżej robotę...

— Obraz?

— Obrazek, miniaturka.

— Gdzie go masz?

— Na razie wisi w muzeum w Sandomierzu.

— Pasuję. Dziękuję za taką robotę.

— Robota jest pewna. Znam teren, ale lepiej byłoby z asekuracją. Zastanów się.

*

* *

Plan Karczewskiego był prosty: zjawić się w muzeum na krótko przed zamknięciem. O tej porze byli tam jedynie nieliczni zwiedzający, a kilkusobowy personel szykował się już do wyjścia. Upatrzony obraz znajdował się w ostatniej, najmniejszej sali. Gdyby znalazł się tam ktoś z personelu, należało go obezwładnić. Sobolewski miał wiele zastrzeżeń do pomysłu.

— Naiwny i prosty — powiedział wprost Karczewskiemu. — Zakładasz, że będziesz sam z przewodniczką, że potrafisz ją załatwić. Wszystko opiera się na sprzyjającym zbiegu okoliczności. A gdzie asekuracja? A samo wyjście z muzeum z obrazem pod pachą?

— Byłeś tam kiedyś? — przerwał mu Karczewski.

— Co głupio pytasz, kiedy wiesz, że nie byłem!

— Ano właśnie! Wszystko to przyszło mi do głowy właśnie tam, na miejscu. Byłem zupełnie sam. Niewiele brakowało, a zamknęliby mnie na noc. Następnym razem miałem do towarzystwa starszą panią siedzącą w przejściu między salami. Żadnych kamer, obrazy wiszą zwyczajnie, na gwoździu, bez żadnych elektrycznych pułapek. Co tu wymyślać, kombinować?

Przed schludny, położony nad Wisłą hotel zajechali przed trzecią.

— Co robimy? — zapytał Sobolewski.

— Zmęczony jestem, wypadałoby odpocząć, wykapać się. Tylko jak tu się meldować, skoro jutro idziemy na robotę.

— A w Tarnobrzegu, w Rzeszowie?

— Tam nie ma szans. Może jeszcze w Mielcu, ale to nie na trasie i może podpadać. Zorientuję się, czy coś w ogóle jest.

Wyrzubał się z rozgrzanego samochodu i ruszył w stronę recepcji. Od młodej dziewczyny siedzącej za szerokim kontuarem dowiedział się, że na razie miejsc nie ma, ale wieczorem może coś się znajdzie.

Może dziewczyna chce zarobić? — pomyślał. Obejdzie się bez karty meldunkowej, zostaną tylko do wody na noc, a rano „moje uszanowanie”, bez zbędnej buchalterii.

Wolnym, zmęczonym krokiem poszli wąską, pnącą się stromo pod górę uliczką. Przy rynku znaleźli niewielką restaurację i wtedy Sobolewski zaproponował, by przejść się do muzeum. Karczewski wzruszył ramionami, ale przystał na tę propozycję. Po chwili stali przed niepozorną, szarą kamienicą, z wielkimi, szklanymi gablotami.

— Popatrz — odezwał się Karczewski, — „W poniedziałki i dni poświęcane muzeum nieczynne” — informowały duże drukowane litery. Pod spodem ktoś dopisał grubym flamastrem: „oraz w środy”.

Dopiero pojutrze!

Podeszli do drzwi, na których wisiała kartka z godzinami otwarcia muzeum. Tu również ktoś tym samym flamastrem zmienił godziny zwiedzania. Spojrzeli na siebie.

— Czyli dzisiaj to jeszcze możliwe — wydusił niezdecydowanym głosem Karczewski.

Do muzeum weszli osobno. Na piętrze, w niewielkich salach, a raczej pokojach, kręciło się kilkanaście osób. Dwie panie w granatowych fartuchach z muzealnego personelu siedziały przy wejściowych drzwiach. Po chwili Karczewski wyłowił z osób tam przebywających wysoką, siwą przewodniczkę. Gdy spotkali się w ostatniej salce, Karczewski podzielił się tą informacją z Sobolewskim.

— Trzy osoby.

— Plus bileter i szatniarka na parterze.

— A gdzie nasz obraz?

Karczewski wskazał głową na wiszącą przed nimi miniaturkę, po czym dyskretnie oddalił się. Zygmunt podszedł bliżej. Obraz miał mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści centymetrów i przedstawiał kobietę modlącą się na brzegu rzeki, a w oddali na tle zachodzącego słońca odpływający żaglowiec. Farba miała liczne pęknięcia, mimo to kolory zadziwiały swoją naturalnością. Rozejrzał się. Na środku sali, na drewnianej ławie siedziała przewodniczka. Oprócz Karczewskiego był tu jeszcze jakiś starszy jegomość. Wystarczyło „wyrwać” stąd przewodniczkę i odczekać, aż będzie pusto. W perspektywie widać było trzy następne salki, ale tylko z sali obok mógł ktoś zobaczyć moment zdejmowania obrazu. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze piętnaście minut. Po chwili jedna z siedzących przy wejściu pań przeszła do ostatniej salki i o czymś zaczęła rozmawiać z przewodniczką. Obie szły wolno w kierunku wyjścia. Gdy minęły Zygmunta, ten skierował się w stronę Karczewskiego.

— Jest tam ktoś? — wskazał na ostatnio wejście.

— Jakiś dziadek.

— Wypłosz go jakoś.

W tym momencie starszy pan opuszczał ostatnią salkę.

— Minuty mi potrzeba — powiedział zmienionym głosem Sobolewski. — W razie czego zakrztuś się.

Spokojnie przeszedł do ostatniej salki. W perspektywie kolejnych drzwi widział siwego jegomościa i przewodniczkę. Stała patrząc w jego kierunku. Teraz, gdy zniknął jej z oczu, stał przed obrazem. Szybko zdjął go ze ściany. Był cięższy niż przypuszczał. Owinął go dookoła kurtką dżinsową, a następnie przerzucił przez ramię na jednym palcu mając wieszak kurtki i łańcuszek służący do zawieszania obrazu na haku. W tym momencie dobiegł go kaszel Karczewskiego. Słyszał szybkie stuki obcasów uwolnionych od muzealnych pantofli i zaraz potem pytającego o coś Karczewskiego.

— Proszę państwa, wychodzimy!

Stali teraz naprzeciw siebie: on z zarzuconą na plecy kurtką, z dziwnie wysuniętym do przodu łokciem, i ona. Sobolewski znieruchomiał, jakby chciał swoją wątłą postacią zasłonić ziejące pustką miejsce.

— Kończymy zwiedzanie...

Nie dokończyła. Karczewski silnym ruchem przyłożył jej do twarzy ogromną chustkę nasyoną chloroformem. Trzymał ją tak przez kilkanaście sekund, po czym pozwolił na mały haust powietrza. Powtórzył to jeszcze kilka razy, aż zwiotczałe ciało zaczęło osuwać się na podłogę.

Sobolewski skierował się do wyjścia.

— Jest tam jeszcze ktoś? — zapytała siedząca przy drzwiach kobieta.

— Słucham? — odezwał się mechanicznie.

— Jeszcze kilka osób, ale już wychodzą — usłyszał za sobą zdecydowany głos Karczewskiego.

Zeszli po trzeszczących nieprzyjemnie schodach, minęli szatnię i kasę z biletami.

— Panowie, a dokąd to!? — głos szatniarki dobiegł ich, gdy otwierali drzwi.

Sobolewski szarpnął mocno drzwi, ale zaraz poczuł rękę Karczewskiego silnie trzymającego go za ramię.

— Kapcie, idioto — wyszeptał ze złością. Uwolnili się od nich szybko i wyszli na ulicę.

— Idź przodem i nie śpiesz się — rzucił Karczewski.

Szedł wolno czując ogromne zmęczenie. Nogi miał jak z waty. Strużki potu ściekały mu po plecach.

Co dalej? — myślał gorączkowo. Przede wszystkim uciekać jak najdalej od muzeum, jak najdalej od miasta. Najlepiej nic rozstawać się z obrazem, tylko czy to możliwe. Odwrócił się. Karczewski szedł po drugiej stronie ulicy. Był spokojny, opanowany, tylko jakiś zimny. Stanęli obok siebie.

— Wariacka robota — powiedział Zygmunt.

— ... i w dodatku nie skończona. Nie możemy iść razem. Zaniesiesz obraz do samochodu.

Zygmunt skinął głową.

— Masz tu kluczyki. Zrób to możliwie dyskretnie, najlepiej żeby nikt nie skojarzył twojej osoby z warszawskimi znakami rejestracyjnymi. Jak się obsprawisz, czekaj na mnie nad Wisłą, vis—a—vis hotelu. Przejdziesz przez ulicę, kilkadziesiąt metrów zarośli i masz rzekę.

—A ty?

— Przejdę się pod komendą. Mogą zablokować drogi wylotowe z miasta. Pokręcę się w pobliżu. Ciekawe, ile mają samochodów, żeby rozwieźć ludzi. Potem odbiorę dowód z recepcji i mniej więcej za pół godziny spotkamy się nad rzeką.

Zygmunt skierował się wolno w stronę hotelu. Ulica skręcała łagodnym łukiem w dół. Szedł coraz wolniejszym krokiem, czując, że ręka mu drętwieje. Kilkaset metrów dalej zobaczył hotel i parking. Po chwili był już przy samochodzie. Obraz owinał starannie w kurtkę i położył pod przednim siedzeniem. Rozejrzał się dokoła, ale na parkingu nic było nikogo. Zatrzasnął cicho drzwi, przekręcił kluczyk i ruszył w stronę rzeki. Płynęła cicho szerokim korytem, niosąc brudne, pokryte pianą wody. Usiadł na brzegu i nagle uświadomił sobie, że mógłby już być za miastem. Karczewski przecież nie zgłosił kradzieży samochodu.

Chciałbym widzieć jego minę uśmiechnął się do własnych myśli. Tylko co dalej?! Nie miał tych kontaktów i możliwości, co tamten, choć w końcu kupiec zawsze by się trafił. Zemsta?.. Nie! Tego obawiał się najmniej. To cacko malowane na desce warte było ogromne pieniądze. He on z tego dostanie? Zerknął na

zegarek. Wszystko zaczęło się dwadzieścia minut temu. Teraz pewnie pani przewodniczka dochodzi do siebie. Ogarnął go jakiś dziwny niepokój. Wstał i poszedł nad sam brzeg. Dopiero teraz zobaczył uwiązaną na grubym łańcuchu psychówkę. Dalej, przy niewielkim pomoście, stało ich więcej. Niektóre miały wiosła.

Spłynąć kilka kilometrów rzeką, niech wtedy robią blokady. Myśl wydawała mu się dobra. Zawrócił w stronę hotelu wychodząc naprzeciw Karczewskiemu. Ciekawe, co on na to powie. Przeszedł przez ulicę i popatrzył na parking. Wstrząsnął nim dziwny dreszcz. Wśród kilkunastu samochodów nie było granatowego volvo.

*

* *

Spotkanie umówione było na godzinę dwudziestą. Otto Wagner spojrzął na zegarek. Mieli jeszcze sporo czasu. Nie śpiesząc się wsiedli do czerwonego audi i ruszyli kierując się w stronę willi Karla Getlera.

— Kto to jest ten Getler?

— A kto to jest Kurt Braun?

— Sądysz, że ta metoda do czegoś prowadzi? Znasz mnie przecież wystarczająco długo, kiedyś razem pracowaliśmy, więc nie bardzo rozumiem co to pytanie znaczy?

— Widzisz, Kurt — odpowiedział Otto — takie samo pytanie zadał mi Getler.

— No właśnie! .

— Co „no właśnie” — zachnął się Otto. — Mnie to po prostu obraża. Jeżeli proponuję do dobrej pracy człowieka, to musi to być sprawdzony facet. Ja za niego odpowiadam. Rozumiesz? Bo Ja po skończonej robocie będę się z nim dzielił forszą. A teraz ty to samo co Getler. Przecież to ja jestem w najgorszej sytuacji, Za ciebie odpowiadam przed nim, za niego przed tobą. Nie mówiąc o sobie.

Otto lubił podkreślać swoją ważność. Teraz była nią odpowiedzialność. Co prawda od dwóch lat pracował w nowej branży, o wielu szczegółach mógł nie mieć pojęcia, ale starał się nadrabiać to pewnością siebie. Dobre mniemanie o sobie to połowa sukcesu. Tak mówił zawsze, nawet wówczas, gdy siedział w więzieniu przyłapanym na próbie włamania do salonu jubilerskiego. Od wyjścia na wolność minęło sporo czasu. Trochę się postarzał, nieznacznie przytył — zachowując w dalszym ciągu zgrabną sylwetkę. Po wyjściu z więzienia poznał Karla Getlera — bogatego handlowca, od pewnego czasu zajmującego się również sprzedażą dzieł sztuki. Były nimi głównie obrazy pochodzące od przypadkowych sprzedawców, antykwariuszy, z prywatnych galerii, kościołów i muzeów. Te ostatnie były — zdaniem Getlera — ziemią nieznaną, co prawda odkrytą, ale jeszcze nic zdobytą. Zawładnięcie nimi było jedynie kwestią czasu i tego, kto uczyni to pierwszy. Zwłaszcza państwowe galerie w krajach socjalistycznych budziły jego pożądanie; w porównaniu z wartością płócien były stosunkowo słabo strzeżone. Tę opinię podzielało wiciu ludzi, a on, Karl Getler, nie zamierzał jej kwestionować. Tak samo jak Otto Wagner, z którym tworzyli dobraną parę. Cementowało ich wiele operacji kupna—sprzedaży cennych płócien, kilka włamań do wiejskich kościołów, jak również do sklepów antykwariuszy. Wszystko to jednak nie przynosiło im spodziewanych zysków, a tym samym satysfakcji. Robotę utrudniał własny teren. Sprzedając skradziony obraz nigdy nie mieli całkowitej pewności, czy nie wraca do prawowitego właściciela, który wcześniej—od towarzystw ubezpieczeniowych otrzymał należną kwotę. Wtedy wystarczał jeden anonimowy telefon na policję. Dla nich oznaczało to kilkuletni wyrok i w praktyce koniec działalności w tej branży. Na razie największe niebezpieczeństwo groziło im ze

strony Maxa i jego ludzi. Warunki, jakie tamci stawiali, nie były zbyt wygórowane. Obiecywali przy tym współpracę w przyszłości.

Wagner zatrzymał samochód niedaleko willi Getlera.

— Jesteśmy na miejscu!

Wygasił światła, zablokował kierownicę i zaciągnął hamulec ręczny.

— Coś cię gnębi? — — zwrócił się do Brauna.

— Jaką mace gwarancję, że was nie wyślizgam?

Wagner uśmiechnął się dobrotliwie.

— Takiej gwarancji nigdy się nie ma. Ani my jej nie mamy, jeśli już tak pytasz, ani ty, bo o to ci chodzi, prawda? Cały problem polega na dobrej robocie i dlatego wybrałem ciebie. A reszta?

Zamyślił się patrząc przed siebie w daleką perspektywę wysadzanej topolami alei.

— Przy tych operacjach, przy tej forsie szwindle przestają się opłacać. To jest dobre przy drobnicy, drobnych skokach, drobnych sumach. Co innego w naszym wypadku, gdy za pieniądze z jednej operacji możesz już coś mieć, jako tako urządzić się. Zresztą dość mamy nerwówki przy samej robocie, w kontaktach z policją, służbą kryminalną i innymi czortami, żeby jeszcze brać na siebie dodatkowe obciążenie. Żadna przyjemność dostać w plecy lub wypłynąć w jakimś kanale. Uczciwość jest naszą zasadą.

— Jaka suma wchodzi w grę? — przerwał Kurt.

— Zaraz się dowiemy.

Karl Getler przyjął ich w dużym stilonie na parterze swego domu. Przy wejściu z zaciekawieniem przypatrywał się Braunowi. Ufał pierwszemu wrażeniu. Wierzył w swą intuicję, znajomość ludzi, ich psychiki.

— Zapali pan? — zwrócił się do Brauna trzymając w ręku pudełko cygar.

— Za duży kaliber.

— A jakiego kalibru pan używa? — zażartował Getler, który z zaciekawieniem przyglądał się palcom Brauna.

Były długie, smukłe, sprawiały wrażenie niezwykle delikatnych.

— Z przyjemnością przegrałbym z panem w karty trochę marek.

— Muszę pana zmartwić, ale wypadłem z obiegu.

Getler zrobił zdziwioną minę.

— Widzi pan — mówił Braun — zmieniły się kryteria przydatności zawodowej. Kiedyś mistrzem był ten, kto miał czuły dotyk. Potem przyszła generacja matematyków: umiejętność tasowania, no i oczywiście liczenia. To wystarczało, żeby mając w ręce swoje karty, znać karty poszczególnych graczy. Zresztą równanie z trzema niewiadomymi rozwiązują już nawet uczniowie. Ważne są umiejętności manualne i pamięć. Przy odpowiednim treningu można się nawet przyzwyczaić do podwójnego przełożenia.

Getler słuchał zaciekawiony pykając cygaro. Chwilę trwało milczenie, aż wreszcie gospodarz wstał proponując gościom kawę. Część oficjalna była zakończona. Po chwili siedzieli już razem przy okrągłym stoliku popijając aromatyczny płyn.

— Obraz nazywa się „Męczeństwo świętego Piotra” — zaczął Getler — i według tego, co wiem, jest pędzla... — zaciął się na moment szukając w pamięci — no jak mu tam, Snydersa. Tak, Snydersa, to znaczy jest to płótno nieznanego malarza, ale wielu speców przypisuje je Snydersowi. Wielkość mniej więcej metr dwadzieścia na półtora. Teraz wisi w Muzeum Narodowym w Warszawie, z tym, że wraz z innymi obrazami będzie pokazywane w innych miastach w Polsce.

— W jakich?

— Trzeba to właśnie ustalić. Również czas ekspozycji, w ogóle wszystkie szczegóły dotyczące ich wędrówki. Dobrze by było odwiedzić te muzea jeszcze przed planowanymi wystawami.

— Jeżeli robimy, to naszą metodą — odezwał się Wagner — wątpię, czy zdążymy.

— Czasu jest rzeczywiście niewiele, ale powinniśmy zdążyć — odparł Getler. — Trzeba jak najszybciej jechać do Warszawy i skontaktować się z Dragonem.

— Ile na to przeznaczasz? Getler popatrzył uważnie na Wagnera, przetarł zmęczone, przekrwione oczy:

— Razem czterdzieści tysięcy dolarów, plus zwrot kosztów.

— I te czterdzieści tysięcy do podziału? — zapytał Wagner.

— To już wasza sprawa. — Popatrzy! uważnie na Brauna, który siedział milcząc i w skupieniu przysłuchiwał się każdemu słowu. — Cześć pieniędzy pójdzie dla Dragona. Z mojej kieszeni opłacane będą wszystkie koszty. W końcu Polska to nie taki drogi kraj dla nas. Będziemy tam zwykłymi turystami i już teraz wykluczam jakiegokolwiek wyskoki, cokolwiek, co prowadzi do kontaktu z ich policją. Jedziemy tam w ściśle określonym celu. Do was będzie należało dostarczenie mi obrazu, a ja przewiozę go do Wiednia.

— Posłuchaj, Karl — oponował Wagner. — Pięćdziesiąt tysięcy bez zwrotu kosztów operacji i już jutro możemy zaczynać.. Z tym, że dwadzieścia pięć tysięcy zadatku przed wyjazdem po obraz.

— Czyś ty oszalał, Otto?! — oburzył się Getler.

— Dlaczego od razu — oszalał? To przecież ty będziesz przewoził obraz przez granicę. Jeżeli wpadniesz, to całą naszą robotę diabli wzięli! Czy wzięłeś pod uwagę ryzyko?

— Ano właśnie, wzięłem! — rzucił głośno Getler, — Wzięłem i to, że mogę na dłużej zostać w tym słowiańskim kraju, na co absolutnie nie mam ochoty. I dlatego proponuję solidną, przyznasz, sumę. Czterdzieści tysięcy plus pokrycie kosztów.

— Karl! Koszty sami pokryjemy i zostaniemy przy pięćdziesięciu.

— Uparty z ciebie człowiek. Ale Dragona opłacisz sam i sam się będziesz z nim dogadywał. Tak samo i tego Karczewskiego...

Na dźwięk tego nazwiska Wagner drgnął. Spojrzał niechętnie na Getlera, a ten najwyraźniej zmieszał się, jak ktoś, kto powiedział za dużo, Wagner zerknął dyskretnie w stronę Brauna i, by ratować niezręczną sytuację, powiedział:

—Dobrze, nie mówmy już o tym, przynieś coś mocniejszego.

Getler podniósł się z głębokiego fotela, kierując się w stronę barku. Rozsunął ścianki stylowej komódki zdobionej grubymi, owalnymi szybami, po czym przyniósł karafkę z kieliszkami. Nalewał szybko i pewnie.

— Pięćdziesiąt tysięcy dla was, panowie! Przystaję na te warunki i... za pomyślność.

Unieśli kieliszki delektując się klarownym płynem.

— Mało pan mówi, panie Braun — odezwał się Getler.

— Dziękuję za komplement.

— Na komplementy będzie jeszcze czas. Co pan sądzi o naszej wyprawie?

— Nie znam szczegółów, a co do Polski, będę tam po raz pierwszy.

— Znam Polskę dość dobrze. Egzotyczny kraj pełen zaskakujących paradoksów. Proszę sobie wyobrazić, że można tam kupić za marne pieniądze antyki, warte u nas na Zachodzie ogromne pieniądze. Zajmują się tym, od przypadku do przypadku, rozmaici amatorzy i proszę, z jakimi efektami.

Był wyraźnie podekscytowany, jakby nie mógł przeboleć, że jacyś przypadkowi amatorzy wchodzą — w drogę jemu! — koneserowi starych obrazów, antyków.

— Wystarczy tam tylko być, nawiązać kontakty z odpowiednimi ludźmi, zainteresować się klientami.

Pociągnął łyk koniaku, robiąc krótką przerwę.

— Proszę się zastanowić? — ciągnął dalej — czy to możliwe, by jedyny Rubens w tym kraju spłonął w dziwnych i nie wyjaśnionych okolicznościach? Bzdura! Ale żeby wiedzieć, gdzie on jest, trzeba tam być. Ja go muszę mieć, ech, co tam! — machnął ręką — ja go będę miał!

— Pan, panie Getler, o ile wiem, nie kolekcjonuje obrazów? — zagadnął Braun.

Popatrzyli na siebie. W oczach Getlera widać było zdziwienie.

— A po co? — rzucił nerwowo. — Dostarczam klientom towar i z tego żyje. Dziś są to obrazy, a jutro, powiedzmy, porcelana. To zależy od zapotrzebowania, a mówiąc bardziej precyzyjnie, od mody. Nie ma się co nad tym zastanawiać, to trzeba jedynie wziąć pod uwagę, wkalkulować w swój biznes, wiedząc, rzecz jasna, co w trawie piszczy.

Wagner siedział pochłonięty własnymi myślami. Nudziły go głupie wywody Getlera. "Najważniejsze, że odegrał tę komedię przed nieświadomym niczego Braunem. Tylko czy ten zgodzi się na proponowane pieniądze. Jeżeli tak, to mieliby człowieka do najtrudniejszej roboty. Myśląc o tym z niechęcią patrzył na Getlera. Zwykły amator, tyle że z forszą i odrobiną szczęścia. Dziwne, że Max się na nim nie poznał. Chyba że zależy mu na człowieku typu Getlera.. W gruncie rzeczy zwykły handlarz, któremu nic robiło różnicy, co sprzedaje, byle zysk był sowity. Teraz jednak szło o coś więcej niż o pieniądze. O tym zarówno Getler, jak i Wagner wiedzieli doskonale. W przeciwnym razie nie wciągałby w całą sprawę Brauna.

Było już po jedenastej, gdy wychodzili od Getlera. Siedząc w samochodzie, Braun powiedział półgębkiem, jakby do siebie:

— Śmieszny facet.

— Masz jakieś wątpliwości?

— Mam ich więcej niż sądzisz.

— Nie rozumiem — zdziwił się Wagner.

— Interesują mnie kompetencje Getlera — rzekł Braun. — W gruncie rzeczy dyletant obraca takimi pieniędzmi. To zmusza do zastanowienia. A poza tym, skoro się zdecydujemy, to jesteśmy z nim związani. Sporo ryzykujemy.

— Czyżbyś się jeszcze nie zdecydował?

— To trzeba przemyśleć, W interesach nie powinno być niedomówień.

— Kurt, odłóżmy tę rozmowę do jutra.

— Nic ma sensu. Proponuję po pierwsze równy podział, to wykluczy zbędną buchalterie przy podziale pieniędzy i przy robocie. Po drugie — z tego co usłyszałem, nasze minimum na czysto powinno wynosić dwadzieścia tysięcy.

— Zgadza się — odparł Wagner.

— Niezupełnie. Chciałbym wiedzieć, kto to jest pan Dragon i ten drugi? Jaka rolę spełniają w tym wszystkim i ile masz im zamiar zapłacić? Dziwna sprawa, że obracający grubą forszą człowiek najmuje dwóch ludzi, ale sam bierze na siebie ryzyko przewozu obrazu przez granicę. Dlatego interesują mnie również nasze — z naciskiem podkreślił to słowo — gwarancje, gdyby Getler wsiąkł na granicy. W tym wypadku nasza zaliczka byłaby napiwkem.

*

* *

Pociąg włókł się ospale przystając na każdej mijanej po drodze stacji. Korytarz i przedziały wypełnione były stłoczonymi i zaspanymi podróżnymi. Większość drzemała usadowiona na ławkach i tobołkach, tylko niektórzy skracali sobie czas rozmową. Mimo zmęczenia Sobolewski nie mógł zasnąć. Raz jeszcze analizował wydarzenia ostatnich kilku dni począwszy od wyjazdu z Karczewskim z Sopotu. Kradzież obrazu wydawała mu się teraz pozbawionym sensu i odrobiny rozsądku ryzykiem. Dziwił się samemu sobie, przerażała go własna lekkomyślność. Udało się, bo mieli sporo szczęścia. Chyba, że... Ta myśl nie dawała mu spokoju. Wydawało się mało prawdopodobne, by Karczewski mógł wpaść razem z obrazem, a jednak taką możliwość należało brać pod uwagę. Co wówczas?! Były momenty, że chciał wysiadać na pierwszej wyłaniającej się z ciemności nocy stacyjce. Potem już tylko dojść do drogi i jakimiś okazjami do dpmu. Brakowało mu jednak siły i odrobiny woli, by opuścić duszny, aś ciepły przedział pociągu zmierzającego do Warszawy. Co dalej? — kołatało mu w zmęczzonej z niewyspania głowie.

Gdy się ocknął, ostatni pasażerowie opuszczali wagon. Wyjrzał przez okno — już Warszawa. Wyludniony o tej porze Dworzec Wschodni był zimny i nieprzytulny. Ruszył w kierunku głównej hali. Kręcili się tu podróżni ze swymi bagażami, kilka sprzątaczek pracowało przy zmywaniu posadzki. Dochodziła piąta. Nie chcąc ryzykować przypadkowego spotkania z milicyjnym patrolem opuścił . dworzec, postanawiając spróbować szczęścia u swojej gospodyni. Była to starsza osoba mieszkająca samotnie w małym, parterowym domku na Mokotowie w pobliżu skoczni. Zajmowała dwa niewielkie pokoiki wraz z obszerną kuchnią. Strych domu przysposobiony do warunków mieszkalnych wynajmowała przygodnym lokatorom. Przez

ostatni rok mieszkał tu Sobolewski, chwając sobie komfort dwóch pomieszczeń oddanych mu w całkowite władanie. W jednym urządził pracownię malarską. Walały się tu wyciśnięte tuby z farbą, stare pędzle, resztki płótna, obrzynki przeznaczonego na ramy drewniane, pudełka po miniaturowych gwoździkach i pinezkach oraz coś, co przypominało sztalugi. Drugie pomieszczenie stanowił pokój mieszkalny. Pod niewielkim oknem stał stół, obok niego łóżko, po przeciwnej stronie szafa i żeliwny piecyk pozwalający zimą jako tako dotrzeć do rana. Komfort tego lokum polegał na całkowitej wyłączności jego użytkowania. Czuł się tu „u siebie”. Wąskie, prowadzące na górę schody, które przypominały wygodną drabinę, stanowił skuteczną zaporę przed niepożądanymi gośćmi. Byli to przeważnie sąsiedzi gospodyni ciekawi, co maluje znajomy z widzenia lokator. Sama gospodyni rzadko tu zaglądała interesując się jedynie pobraniem komornego. Zalegał z nim od dwóch miesięcy, dokładnie od chwili, kiedy nic nikomu nic mówiąc wyjechał do Sopotu. Niby wszystko było w porządku, a jednak powrót na znajomy stryszek oznaczał konieczność uregulowania komornego. Chyba że gospodyni znalazła sobie nowego lokatora. Ta myśl nic dawała mu spokoju. Marzył o wygodnym łóżku, na którym mógłby odespać wszystkie stresy ostatnich dni. o ciasnym stryczku, który teraz urastał do rangi cudownego apartamentu, w którym będzie się mógł wyspać. Nerwowo zapukał do drzwi.

— Wejść — usłyszał znajomy głos. Gospodyni siedziała przy stole zajęta krojeniem chleba. Milczała. Nie odpowiedziała nawet na „dzień dobry”, aż w końcu kiwając głową mruknęła:

— To znaczy zguba się znalazła!

— Niby ja?

— A kto?! Pytali tu o pana, z milicji, dzielnicowy. Sobolewskiemu zrobiło się nieswojo. Siłąc się na obojętność zapytał po namyśle:

— A w jakiej sprawie?

— Chciał wiedzieć, od jak dawna pan mieszka, z czego pan żyje, to znaczy czy pan student... Interesował się tymi malunkami... Nawet mu się podobały.

— Kiedy był?

— Pod koniec lipca.

Sobolewskiemu ulżyło. Pewnie zwykłe sprawy meldunkowe, o których zupełnie zapomniał.

— Dobrze, że pan się zjawił — mówiła gospodyni. — Trafia mi się lokator. Chcę wiedzieć, czy pan rezygnuje.

— Ja właśnie w tej sprawie.

Przez twarz gospodyni przemknął niepokój.

Mimo zmęczenia dostrzegł jej wyczekiwanie na to, co teraz powie.

Stara blefuje. Nie ma żadnego klienta, a zależy jej na zaległym komornym — pomyślał. Uśmiechnął się, wyciągając z kieszeni pieniądze. Odliczył trzy tysiące.

— Jesteśmy w zgodzie do października i wszystko zostaje jak dawniej.

Bez słowa zwinęła pieniądze, wstała od stołu uważając rozmowę za skończoną. Sobolewski powłókł się na górę. Wszystko tu było po staremu, z wyjątkiem czystej pościeli, tak bardzo odcinającej się od ponurego wnętrza pokoiku. Szybko zdjął ubranie, wsunął się pod kołdrę i po chwili miał uczucie, jakby wraz z łóżkiem zapadał się w jakąś otchłań.

*

* *

Następnego dnia rano wybrał się na Stare Miasto. Przede wszystkim chciał się dowiedzieć, kto kupuje obrazy i co idzie najlepiej. Przeszedł wzdłuż Barbakanu, a potem pokręcił się po rynku. Kilkunastu facetów wysiadywało na składanych stołkach prezentując swoje płótna. Przeważa! olej. ale coraz więcej było akwarel i szkiców— To, co najbardziej zwróciło uwagę Sobolewskiego, to ogłoszenia informujące o taniej i okazycznej sprzedaży reprodukcji znanych i poszukiwanych malarzy^ Było to przeniesienie transakcji na teren prywatny, pokazanie wszystkiego, co rzeczywiście miało się do zaoferowania. Ludzie decydujący się na wyprawę do prywatnego mieszkania czy pracowni z reguły należeli do dobrze płacących klientów. Zdarzali się wśród nich zagraniczni turyści, choć ci najchętniej kupowali na ulicy.

— Jak leci? — Zygmunt zagadnął tęgiego brodacza, zajętego pochłanianiem drugiego śniadania.

Tamten podniósł ospale głowę i przez jego twarz przebiegł chytry uśmiech.

— Witam konkurencję! Pytano tu o ciebie.

— To znaczy kto...?

— Karczewski. Chodził, wahał, coś nawet chyba kupił.

— Dawno?

— Przed tygodniem.

— Kiedy ostatni raz go tu widziałeś?

— Właśnie wtedy. .Podobno byłeś na Wybrzeżu? — zainteresował się brodacza.

Sobolewski skinął głową.

— Byłem, ale tam interes już się kończy.

— Sądysz, że tu jest lepiej? Trzeba albo trafić dobry malunek, albo dobrego klienta. Ale to jeszcze frajer. Teraz, bracie, w pojedynkę to na sól do rzodkiewek nie zarobisz. Ludziska się wycwanili. Fundują sobie solidne walizy, opłacają bramkarzy w hotelach i tam teraz odchodzi największy interes. Skończyły się dobre czasy. Teraz już nic malujesz tego, co lubisz. I według zamówień. Znam jednego, który od ładnych kilku miesięcy jednego Kossaka tłucze, ma się rozumieć, z oryginału. Mają ludzi, którzy to rozwożą po kraju i interes jak ta lala.

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie można spotkać Karczewskiego? — przerwał mu Sobolewski.

— Nie, stary, ja się takimi sprawami nie zajmuję. A co? Wykiwał cię?

— Nie, dlaczego — nieprzekonywująco zaprzeczył Zygmunt.

Brodacz jakby nie słuchając ciągnął dalej:

— Oni teraz wszystkich kiwają. Twój czas już się skończył. Teraz rządzą tacy jak Karczewski. Zaczął się czas menażerów. Takie toto nie potrafi malować, ale ma pieniądze, naganiaczy, co mu ściągają takich jak ty, załatwia oryginały i dyktuje warunki.

— Może to niezły biznes?

— Dla ciebie może, ale ja za półdarmo nie będę pracował u takiego jak Karczewski. Już wolę tu stróżować. Masz coś na handel?

— Właśnie chciałem się zorientować przed rozłożeniem sklepu — odparł Sobolewski.

— No to powodzenia. Módl się teraz i ty o pogodę.

*

* *

Po kilku dniach Sobolewski rozkładał kilka swoich płócien na staromiejskim rynku. Liczył na sprzedaż i na dopływ gotówki, ale głównie chodziło mu o Karczewskiego. Było to jedyne miejsce, gdzie — jak sądził — najszybciej go spotka. Przed wakacjami nie było dnia, by nie zaglądał tu załatwiając jakieś sprawy z malarzami lub tylko sprzedającymi obrazy. Wszyscy go tu znali, choć nie wszyscy mówili o nim dobrze. Teraz ten człowiek jakby zapomniał o staromiejskiej giełdzie. Nie pokazywał się i nikt nie umiał powiedzieć, gdzie go szukać. Po kilku dniach wydawało mu się, że zobaczył Karczewskiego. W pierwszym odruchu chciał pobiec do niego upominając się o swoją dolę. Powstrzymał się jednak w porę. Rynek Starego Miasta nie był najlepszym miejscem do tego rodzaju rozmów. Szedł w niewielkiej odległości za Karczewskim, obiecując sobie dopaść go w bardziej neutralnym miejscu. Przeszli tak ulicą Świętojańską do placu Zamkowego. Tam skręcili w kierunku pomnika Kilińskiego. Karczewski wsiadł tu do zaparkowanego samochodu i odjechał w stronę ulicy Długiej. Sobolewski zdążył jedynie zanotować numer rejestracyjny wiśniowej łady. Zmiana samochodu nie była dlań zaskoczeniem. Tłumaczył to sobie zacieraniem śladów po hecy w Sandomierzu. Z pewnością jego granatowe volvo, do którego był bardzo przywiązany, zmieniło kolor, a następnie właściciela. Ale to były drobiazgi. Sobolewskiego interesował najbardziej skradziony z Muzeum Sandomierskiego obraz i związane z tym rozliczenia. Zawiózł kilka nie sprzedanych obrazów na swój stryszek, postanawiając kręcić się po Starym Mieście w nadziei — ponownego zobaczenia Karczewskiego; snuł się przy Zamku, zaglądał do kafejek i restauracji, lustrował najbliższe parkingi, wypatrując wiśniowej łady z numerami, które znał jak datę urodzenia. Rozmawiał właśnie ze znajomym brodaczem, gdy ten trącił go w ramię:

— Zobacz, kto idzie.

Po drugiej stronie rynku dojrzał Karczewskiego w towarzystwie wiekowej damy. Szli w kierunku placu Zamkowego. Sobolewski pożegnał brodacza i ruszył za nimi. Szybko ich wyprzedził, kierując się na parking, gdzie bez trudu odnalazł wiśniową ładę. Gdy upewnił się, że są dostatecznie daleko, pochylił się, spuszczając powietrze z przedniego koła. Miał teraz w zapasie kilka minut, by pobiec na najbliższy postój taksówek. Stąd widział doskonale Karczewskiego, który zabrał się do pompowania. Po dobrym kwadransie jechał za nimi dogadując z taksówkarzem wysokość zapłaty. Zatrzymali się dopiero na peryferiach. Karczewski zaparkował swą ładę w cichej kolonii domków jednorodzinnych i wraz z towarzyszącą mu panią wszedł do eleganckiej, oddzielonej od ulicy wysokim żywopłotem willi. Sobolewski pokręcił się chwilę w pobliżu, aż wreszcie nieco zniecierpliwiony zadzwonił do furtki.

— Słucham pana — usłyszał w domofonie męski głos.

— Ja do pana Karczewskiego.

— Przepraszam, do kogo? — usłyszał wyraźnie zdziwiony głos.

Sobolewski powtórzył nazwisko dodając jeszcze imię.

— Pan wybaczy, to jakaś pomyłka. Nie ma tutaj nikogo o takim nazwisku, może pan pomylił adresy?

— A właściciel tej łądy?

— To mój samochód — w głosie mężczyzny słychać było nutkę rozbawienia. Pan będzie łaskaw chwilę poczekać.

Co jest grane? zastanawiał się Sobolewski. Chyba że willa ma drugie wyjście. Próbował wypatrzeć następną posesję, ale wysokie jałowce i drzewa przesłaniały mu widok. Matowy dzwonek i głos dobiegający z głośnika wyrwał go z tych rozważań:

— Pan będzie łaskaw, prosimy.

Brzmiało to mile i sympatycznie, a znajomy mu męski głos był pełen kurtuazji.

Ogarnął go jakiś niepokój. Wchodził do obcego domu, by upomnieć się o pieniądze związane z kradzieżą, za którą groziło mu kilka lat więzienia. Nie muszą wiedzieć, że jestem sam — przyszło mu do głowy.

W wejściu przywitał go szpakowaty pan ubrany w pikowany tużurek. Gestem zaprosił go do środka.

— Proszę, niech się pan nie krępuje.

Sobolewski czuł się trochę rozbrojony uprzejmością nieznanego mężczyzny. Odeszła go pewnośc siebie. Chciał rozmówić się z Karczewskim, ale w tych warunkach wątpił, by rozmowa miała pożądany dla niego przebieg.

— Nie jestem sam. Chciałem zamienić kilka słów z Karczewskim... nie chciałbym zabierać panu niepotrzebnie czasu...

— Pan się myli. panie Sobolewski, to ja zabiorę panu nieco czasu.

Drgnął na dźwięk swego nazwiska wypowiedzianego przez nieznanego mężczyznę w tużurku.

Weszli do dużego, półokrągłego pokoju, pośrodku którego leżał dywan. Jego wzór do złudzenia przypominał kwiat czerwonego maku. Nieregularne, półokrągłe obrzeża po legowały wrażenie czegoś niezwykłego i oryginalnego. Na ścianach wisiało kilka obrazów. Obite skórą fotele, kanapa wraz z serwantką, biurkiem i niewielką biblioteczką uzupełniały całość, sprawiając wrażenie przytulności. Oszklona ściana z wyjściem na taras odsłaniała perspektywę ogrodu otoczonego z tej strony srebrnymi świerkami.

— Słyszałem trochę o panu — zaczął mężczyzna, gdy usiedli w wygodnych fotelach.

— Nie chciałbym pana urazić, ale kim pan jest? — zwrócił się Zygmunt do jegomościa w tużurku. — Pan zna moje nazwisko, coś niecoś słyszał pan o mnie...

— Nawet widziałem pana obrazy. Jest pan zdolnym kopistą. Jeszcze trochę pracy, mam na myśli większą dbałość o szczegóły, i nie opędzi się pan od zamówień.

Sobolewski miał już pewnośc, że rozmawia z Mecenasem. Był zadowolony, że przypadek zetknął go z tym człowiekiem. Teraz nie chciał się z tym zdradzić, udając zdziwienie i obojętność. Tamten mówił dalej:

— Moje nazwisko niewiele panu powie. Zresztą niech mi pan wierzy, panie Zygmuncie, że ideałem byłoby, gdybyśmy w ogóle się nie znali, ma się rozumieć świadcząc sobie wzajemnie usługi.

— O czym pan mówi? — wtrącił Sobolewski.

— Zaraz się pan dowie.

Wstał, kierując się w stronę serwantki. Sięgnął po tacę z kieliszkami.

— Co pan pije? Śliwowica, „Janek wędrowniczek”, Napoleon, nasza Wyborowa... — wymieniał zawartość barku.

— Sok grapefruitowy pan ma?

— A z czym chce go pan mieszać? z... Gordon's Dry Gin"?

— Nie, dziękuję, nie przywykłem do takich wykwintnych mieszanek. Wystarczy „żyto”.

Może jednak chociaż „Beefcater”? Wymienił kieliszki na wysokie szklanki i po przyrządzeniu napoju podał Sobolewskiemu.

— To, co pan w tej chwili robi. to ani malowanie, ani kopiowanie. Nie twierdzę, że jedno wyklucza drugie, ale przy dzisiejszym zapotrzebowaniu większe pole do popisu ma pan jako kopista. Finansowo to się lepiej panu opłaci. Świetnie chwytą pan kolory, pozostaje więc tylko szczegół, czy jak wy to nazywacie — detal. Ale to tylko kwestia żmudnego treningu i pewnego komfortu. Bawi pana to cygańskie życie na Starym Mieście?

— Ma swoje zalety — uśmiechnął się Sobolewski.

—Umie się pan cenić— skonstatował nieznajomy.

,— To szkoła Karczewskiego. Czy to on powiedział panu o mnie?

— Niezupełnie. Tak naprawdę, to ja zwróciłem na pana uwagę, a raczej zainteresowały mnie pana obrazy. Karczewski miał pana sprawdzić.

— I co? — w głosie Sobolewskiego przebijał sarkazm. — Czy test wypadł pomyślnie?

—Niezupełnie! — Uśmiechnął się dobrodusznie bawiąc się jego zdziwieniem. — Jest pan zdolny, ale i lekkomyślny. Niech pan stara się omijać Sandomierz. To ryzyko było zupełnie niepotrzebne.

Sięgnął po papierosy, poczęstował nimi Sobolewskiego.

— Przejdźmy do rzeczy. Proponuję panu kopiowanie zleconych przeze mnie płócien. W większości będą to oryginały.

— Na jakich warunkach?

— Tego nie wiem. Stawiam sprawę uczciwie: każdy klient płaci inaczej.

— I nie zawsze tą samą walutą — ironicznie wtrącił Sobolewski.

Twarz mężczyzny w tuzurku na moment znieruchomiała. Odczekał chwilę i ciągnął dalej:

— Daję panu pracownię z całym wyposażeniem. Do panu należy kopiowanie, przy czym wolałbym, by skończył pan z dorabianiem na Starym Mieście.

— Ale to moje jedyne źródło utrzymania — zaproponował Zygmunt.

— Jeżeli pana interesuje moja propozycja — to już nie. To, co pan będzie mógł u mnie zarobić, wystarczy panu na wygodne życie.

— Na ile pan to życie wycenia? — domagał się konkretów Sobolewski.

— Raz będzie roboty więcej, raz mniej. Mogą się nawet zdarzyć, miesiące bez zamówień. Wówczas gwarantuję minimum, no powiedzmy, pięć tysięcy złotych, które przy okazji większych zamówień będzie mi pan zwracał.

— A ile wynosi maksimum? — zapytał Sobolewski.

— Teoretyczne coś takiego nie istnieje.

— A praktycznie?

— Udana kopia to, w zależności od stopnia trudności i oczywiście klienta, siedem, osiem, a nawet dziesięć tysięcy. Zdarzają się jeszcze lepiej płatne okazje. To są pieniądze, które pan otrzymuje po ukończeniu kopii. No więc jak, zgadza się pan?

— Chciałbym uregulować swoje sprawy z Karczewskim. .

— Radzę panu zapomnieć o wszystkim, co ma jakikolwiek związek z waszą wizytą w Sandomierzu. Tadeusz przekroczył swoje kompetencje i będzie musiał za to zapłacić. Jeżeli pan przyjmie moją propozycję, uważam całą sprawę za niebyłą.

— Nic z tego nie rozumiem — zdziwił się Sobolewski.

— To nawet lepiej. Nie muszę panu tłumaczyć; że obowiązuje nas wszystkich całkowita dyskrecja. Cześć obrazów, które tu powitają, wędruje za granicę. Po tym, co zmalowaliście w Sandomierzu, milicja i wszystkie przejścia graniczne postawione są na nogi. To co, zgadza się pan?

Sobolewski przytaknął. Podali sobie ręce. Mecenasa nic ukrywał swego zadowolenia.

— Wiedziałem, że jest pan rozsądny. Skończy pan wreszcie z tymi staromiejskimi patykami. Proponuję ładny interes, a w interesie nie powinno być złości.

Sobolewski uśmiechnął się kwaśno. Inaczej wyobrażał sobie przebieg tej wizyty. Nęciła go propozycja Mecenasa, ale nie mógł zapomnieć Karczewskiemu wszystkich jego świństw i machlojek, zwłaszcza tej ostatniej w Sandomierzu,

— Pan wybaczy. — Mecenasa podniósł się z fotela i opuścił salon.

Po chwili wrócił w towarzystwie Karczewskiego. Podali sobie ręce. Sobolewski czuł się rozbrojony. Wiedział, że na rozmowę, jaką planował, będzie jeszcze musiał poczekać.

— Nie mogłem inaczej — pierwszy odezwał się Karczewski. — Ledwo zdążyłem się wymknąć za miasto... Ale mam dla ciebie coś, na co czekasz.

— O właśnie! — wtrącił się Mecenasa. — Przejdźmy do rzeczy. Co prawda, ja to będę firmować, ale ty, Tadeusz, jesteś przed Maxem odpowiedzialny za powodzenie wszystkiego, co związane jest z „Anonimem”.

— Co za „Anonim”? — zdziwił się Sobolewski.

— Wszystkiego dowie się pan w swoim czasie — pośpieszył z wyjaśnieniem Mecenas. — Chodzi o to, że pierwsze zamówienie, to znaczy pierwszą kopię zawdzięcza pan Tadeuszowi. Proponuję więc — tu zwrócił się do Karczewskiego — żebyś ty wyjaśnił panu Zygmuntowi, o co chodzi, no i ma się rozumieć, zaproponował solidne warunki.

Uspokajający gest Karczewskiego przerwał wywody Mecenasa.

— O to się nie martw. Dojdę z Zygmuntem do porozumienia.

Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym Sobolewski opuścił gościnną willę. Mecenas stał w oknie odprowadzając go wzrokiem.

— Szybko ci poszło — usłyszał za sobą głos Karczewskiego.

— Nie może ci przebaczyć Sandomierza. Wydaje mi się, że gnębi go ta cała sprawa.

— To i dobrze. Trochę niepewności dobrze mu zrobi, a nam ułatwi robotę.

— Jest nam w tej chwili potrzebny, a i w przyszłości może się przydać.

— Nie myślisz go chyba zbyt rozpieszczać? — zaniepokoił się Karczewski.

— Chłopak musi trochę zarobić, a ty szukaj następnych. Jak będą o sobie wiedzieć, my będziemy dyktować warunki,

— A teraz jest inaczej? — zdziwił się Karczewski.

— Reprodukcje kończą się bezpowrotnie. Ludzie chcą mieć coś spod ręki, a nie spod maszyny, trzeba być na to przygotowanym. Tacy jak ten Sobolewski muszą nam w tym pomóc.

*

* *

Terkot telefonu wyrwał Kurta Brauna z zamyślenia.

— Halo — rzucił w słuchawkę.

— Cześć, Kurt. Mówi Otto. Dobrze, że cię zastałem. Mam wiadomość od Getlera. Chce się z nami zobaczyć.

— Wiesz coś więcej? — zapytał Braun. Mam trochę świeżych wiadomości.

— To wpadnij do mnie, jestem sam.

Po trzech kwadransach siedzieli razem, popijając mocną kawę. Każdy z nich zdecydowany był jechać do Polski. Pozostało tylko omówienie warunków i ułożenie planu całej wyprawy.

— Powinno cię to zainteresować — odezwał się — Wagner. — Ten Snyders — to lipa. Chodzi o inny obraz. Prawdopodobnie klient się zmienił.

— Czy to zmienia warunki naszej wstępnej umowy? — zapytał Braun.

— Nie, warunki pozostają te same.

—A obraz?

— Też na płótnie, tylko trochę mniejszy.

— Jeżeli Getler sam chce go przewozić przez granicę, to jest to dla mnie bez znaczenia.

— To znaczy, już nie gnębi cię ewentualna wpadka Getlera na granicy?

— Owszem, gnębi — odpowiedział Braun. — I dlatego chcę mu zaproponować, żebyśmy to wzięli na siebie. Oczywiście, nie będziemy ryzykować za darmo — dodał szybko.

— A jeżeli się nie zgodzi? — powątpiewał Wagner.

— Wówczas musimy mieć zabezpieczenie. Przecież po przekazaniu obrazu Getlerowi, wszelkie ryzyko jest już poza nami. Cóż z tego, że wrócimy do Monachium, kiedy on zostanie w Polsce. Ideą byłoby zainkasowanie forsy w chwili oddawania mu obrazu.

— W Polsce jest to niemożliwe — sprzeciwił się Wagner.

— Dlaczego, niech nam wręczy czek.

— Innych problemów nie widzisz?

— Jestem dobrej myśli. Nie znam Polski, ale czuję, że wszystko się nam uda.

Wagner wstał i podszedł do telefonu.

— Dzwonię do Getlera — powiedział — chyba że masz jeszcze jakieś kwestie.

Braun zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

W godzinę później Getler przyjmował ich w swoim gabinecie. Tym razem był swobodny i rozluźniony. Najwyraźniej dopisywał mu humor. Dużo mówił, racząc gości koniakiem. Wreszcie usiadł i zapytał:

— Moi kochani, rozumiem, że decydujecie się na wycieczkę do Polski?

Braun nic nie mówił, pociągając małymi łykami z kieliszka.

— Właśnie w tej sprawie przychodzimy — przerwał przydługie milczenie Wagner.

— W takim razie do rzeczy, panowie. Kontaktowałem się z Dragonem, zamówienie przyjął i mniej więcej za dwa tygodnie powinien być z robotą gotowy.

— Co z honorarium? — przerwał Wagner.

— Nie ustalaliśmy ceny, ale zgodził się na takie warunki, jak ostatnio. Myślę, że około tysiąca odpalisz mu przy odbiorze, obrazu. Tym razem on sam załatwiał fotokopie, sam również dowiadywał się o oryginały. Może więc liczyć na więcej. A poza tym, on przekaże ci informacje o miastach, w których obrazy będą pokazywane. Najprawdopodobniej w grę wchodzi Sieradz, Bit!—ko lub Żywice. W każdym razie ule targuj się z nim zbytnio. Mam sprawdzone informacje, że Dragon zaczyna się liczyć w Polsce. Będzie nam z pewnością potrzebny w przyszłości.

— A sam obraz? — zapytał Wagner.

— Dobrze, że pytasz — odparł Getler. — Nie będzie to Snyders, ale to nie ma większego znaczenia. Chodzi o XVI—wieczny obraz nieznanego malarza o treści religijnej. Wymiary mniej więcej czterdzieści na sześćdziesiąt centymetrów.

— Nasze finansowe rozliczenia pozostają bez zmian? — zapytał Wagner.

— Niech już tak zostanie — wysapał Getler. Wagner i Braun czekali teraz, co jeszcze ma im do pokazania Getler. Ten jakby się zamyślił przeciągając moment, który miał za chwilę nastąpić. Wreszcie zaczął:

— Najdalej za tydzień powinniście wyjechać do Polski. Nie chciałbym się wtrącać w sprawy, za które wy odpowiadacie, ale lepiej byłoby, gdybyście nie jechali razem. Skontaktujecie się z Dragonem, zobaczycie, jak robota idzie i ustalicie termin odbioru obrazu. Dowiedziecie się również, gdzie eksponowana będzie wystawa. Kiedy już będziecie znać miejsce i czas wystawy, wybierzecie czas akcji i telefonicznie przekażecie mi tę wiadomość.

— Musimy mieć trochę czara na poznanie muzeum, w którym będzie prezentowany oryginał — odezwał się milczący dotąd Kurt.

— Na to będziecie mieli dużo czasu, bardzo dużo czasu. Myślę nawet, że tak dużo, że z nudów poznacie ten kraj. Radzę wam nie tracić czasu i mieć oczy i uszy szeroko otwarte. To jest chyba ostatni kraj, gdzie można złowić coś ciekawego, unikając większego ryzyka.

— Nie bardzo rozumiem, skąd przekonanie o tym wolnym czasie — wtrącił się Wagner, którego drażniły rady Getlera.

— To jeszcze nie wiadomo, kiedy obrazy ruszą w objazd po Polsce.

— A więc możemy mieć równie dobrze bardzo mało czasu — nie dawał za wygraną Wagner.

— Z tym mniejszy kłopot — odparł Getler. — W wypadku kilkutygodniowej zwłoki, nie chcę, żebyście wracali tutaj.

— A to dlaczego?

— Zbytńia ruchliwość budzi podejrzenia.

— To ma sens — odezwał się Kurt — jeżeli mielibyśmy wieść ten obraz przez granicę.

— Nie, panowie — powiedział stanowczo Getler — nie zmieniamy raz ustalonych spraw. Biorę to na siebie. Sposób pewny i wielokrotnie wypraktykowany.

Czyżby Getler miał kupca na obraz już w Polsce? — przeszło przez myśl Braunowi. — W takim razie wszelkich rozliczeń należało dokonać tam na miejscu.

— Jak będziemy się rozliczać? — zapytał. Getler uniósł się z fotela i ciężkim krokiem podszedł do swego biurka. Otworzył stojącą na nim walizeczkę i wyjął plik banknotów. Przeliczył je dokładnie i położył na stoliku, przy którym siedzieli Braun i Wagner.

— Zgodnie z umową dziesięć tysięcy dolarów,

— To na koszty całej operacji?

Getler skinął potakująco głową.

— Rozumiesz chyba, że liczymy na zaliczkę — głos Wagnera jakby złagodniał. — Powiedzmy, po dziesięć tysięcy dolarów. Przyznasz, że to niezbyt wygórowane żądania.

— Zgadzam się na dziesięć tysięcy, ale nie po dziesięć tysięcy. Naprawdę, panowie, więcej nie mogę.

— Jaką mamy gwarancję, że nie wpadniesz na granicy? — nalegał Otto. — Od tego przecież zależy wypłata naszego honorarium. Co będzie...

— A jaką ja mam gwarancję — przerwał mu Getler — że nie wpadniecie w trakcie roboty? Koszty całej operacji — rozumiem. Zaliczka — owszem, ale w rozsądnych granicach!

— Skoro to pan przewozić będzie obraz odezwał się teraz Braun — załatwmy całą sprawę za pomocą czeku. My panu obraz — pan nam czeki.

— To brzmi rozsądnie — przyznał Getler.

— Zostańmy w takim razie przy dziesięciu tysiącach — zaproponował Wagner.

Getler wstał i znów podszedł do biurka. Otworzył czarną walizeczkę i wyciągnął z niej drugi plik banknotów.

*

* *

Był już późny wieczór, gdy przed willą Wacława Dragona zatrzymała się taksówka. Wsiadło z niej dwóch młodych mężczyzn, kierując się do ogrodowej bramki.

— Dobrze, że panowie już jesteście — przywitał ich Dragon.

Jego znajomość niemieckiego pozwalała rozmówić się w niezbyt skomplikowanych sprawach. Mówił wolno, z namysłem. Usadowieni w fotelach Braun i Wagner robili wrażenie ludzi powściągliwych i obojętnych, którzy nigdy nie zdradzają się ze swymi myślami. Patrzyli tępo przed siebie grzejąc w dłoniach kieliszki z koniakiem. Po krótkiej, grzecznościowej wymianie zdań Dragon zapytał:

— Jak się panom podobał obraz? Wymienili między sobą pytające spojrzenia.

Delikatny uśmiech przeszedł przez twarz Dragona. Pokiwał wyrozumiale głową i zapytał: ?i™ Panowie chyba z podróży?

— Niezupełnie — odpowiedział Braun. — Przyjechaliśmy wczoraj, a dziś mamy nadzieję, że pokaże pan nam coś interesującego.

— To, co panów interesuje, będzie gotowe za dwa tygodnie, no, powiedzmy za dziesięć dni.

— Czy można to zobaczyć? — zapytał Wagner.

Dragon nie stawiał sprzeciwu, choć nie było mu to na rękę. Wiedział już, że tych dwóch młodych ludzi związanych z Getlerem nie było w Muzeum Narodowym. Nie widzieli więc oryginału i w najlepszym wypadku zobaczą go za kilka tygodni w Żywcu. Mógł więc bez obawy pokazać powstającą właśnie kopię. Była na ukończeniu. Z drugiej strony nie chciał, by zobaczyli pracującego nad obrazem Sobolewskiego. Sprawy rozliczeń wolał utrzymać w tajemnicy. Co prawda wysokość honorarium była już ustalona, ale nie chciał, by

Student wiedział, że on. Dragon, sprzedaje tę kopię za dolary. Gdy znaleźli się w pracowni na półpiętrze. Dragon zwrócił się do Sobolewskiego:

— Niech pan nas zostawi samych. : Braun jakby zrozumiał i szybko zaprotestował:

— Nein, warum?

Razem z Wagnerem stanęli przed sztalugami, wprawnym ruchem mierząc ich długość i szerokość.

— Ja, danke! — powiedział Braun, chowając metalową miarkę do skórzanego futerałka.

Dragon stał w milczeniu patrząc na nich zdziwionym wzrokiem. Kim właściwie byli; co sobą reprezentowali? Otto Wagnera znał z widzenia z jego poprzednich pobytów w Polsce, razem z Karlem Getlerem. Kim był ten drugi — nie wiedział. Być może to człowiek Maxa. Ale w takim razie Karczewski, któremu właśnie Max powierzył cichy protektorat nad całym przedsięwzięciem, musiałby coś o nim wiedzieć. Chyba że ukrywa to przed nim. Nie podobała mu się ta gmatwanina wpływów i kompetencji. Spotkanie, w końcu przypadkowe. Karczewskiego z Maxem pozwalało Dragonowi liczyć na większe zamówienia. Nie było mu wszakże na rękę, że ten boss bossów w sprawie „Anonima” uczynił Karczewskiego swą prawą ręką. W każdym razie, ci dwaj wraz z Getlerem robili wrażenie dyletantów, albo zbyt pewnych siebie zawodowców. Cóż mnie to może w końcu obchodzić? — próbował uspokoić się. — Kupują ode mnie zamówioną kopię wybranego obrazu i na tym się moja rola kończy. Czyżby jednak nie interesowała ich wierność tej kopii, zgodność z oryginałem? Znając mechanizm całej operacji wiedział, że właśnie na łudzącym podobieństwie kopii do oryginału Getler, a może oni, zyskują trochę czasu, tyle, by do momentu wykrycia kradzieży zdążyć wywieźć oryginał za granicę. Znał wypadki, kiedy dopiero po kilku tygodniach wykrywano kradzież.

— Kiedy panowie wybieracie się do muzeum zobaczyć oryginał? zwrócił się do nich łamaną niemiecką.

— Czekają pan na komplement, panie Dragon? — zapytał Wagner,

Zeszli do salonu, gdzie mieli ustalić termin odbioru kopii i jej cenę.

— Ma pan zdolnych kopistów, a to się liczy — powiedział Wagner. — A co do obrazu, to wierzymy w jego zgodność z oryginałem. To zdolny malarz — wskazał w stronę pracowni, w której zostawili Sobolewskiego.

Dragon skinął głową.

— Zdolny i wielokrotnie sprawdzony — zapewnił.

— O, Herr Dragon, w to my nie wątpimy. Czy on będzie kopię patynował?

— To jest przede wszystkim malarz — wyjaśnił Dragon.

— Porównywanie obrazów miałoby sens wówczas, gdyby kopia była gotowa.

Tak — zgodzi! się Dragon — ale za dwa tygodnie kopia będzie już w muzeum, w Żywcu.

— W takim razie zostało nam niewiele czasu — zwrócił się Wagner do Brauna.

— Tak czy inaczej, możemy zobaczyć oryginał jeszcze w Warszawie — — odezwał się Braun.

— Jeżeli nawet nie zdążymy, to w Żywcu będziemy musieli to zrobić.

Dragon uzupełnił gościom puste kieliszki, po czym przeszli do ustalania szczegółowych warunków finalizacji umowy. Wagner zgodził się z Dragonem, że kwota tysiąca dwustu dolarów jest sumą do przyjęcia i że wypłaci ją przy odbiorze kopii. Termin ustalił komunikując się telefonicznie. Gdy zbierali się do wyjścia, milczący dotąd Braun zwrócił się do Dragona:

— Czy panu coś bliżej wiadomo o obrazie, który nas interesuje?

— Czy słyszał pan coś o Alfredzie Potockim? — odpowiedział pytaniem na pytanie Dragon.

— Gdybym był antykwarem, pewnie coś więcej bym wiedział na jego temat.

— W takim razie słyszał pan już o nim — odparł Dragon. — Obraz, który panów interesuje — kontynuował — nie ma zbyt wielkiej wartości. Pewnie dlatego jest często wystawiany w wielu regionalnych muzeach, gdzie nie ma należytego zabezpieczenia. Ale nie należy tego traktować jako regułę.

— Chce pan powiedzieć, że muzeum w tym... jak mu tam...?

— W Żywcu.

— O właśnie, w Żywcu, nie ma należytego zabezpieczenia?

— Tego nie twierdzę, w każdym razie nie ma zabezpieczenia elektronicznego.

— O jakim zabezpieczeniu pan wie? — spytał Braun.

Dragon nie miał już żadnych wątpliwości, że jego goście to wynajęci przez Getlera włamywacze, którym zlecił kradzież obrazu. Prawie w ogóle nie interesowali się oryginałem, niewiele wiedzieli o samym obrazie. Interesowały ich przede wszystkim sprawy techniczne, choć i o te pytali jakby od niechcenia. I teraz to pytanie o zabezpieczenie! Dragon znał doskonale muzeum w Żywcu, ale wolał nie poruszać tematów związanych z samą technologią kradzieży. Do niego należało tylko dostarczenie kopii. Reszta nie powinna go interesować, w jego dobrze pojętym interesie. Znał ludzi, którzy tak jak i ci grzeszyli zbytnią pewnością siebie, a później wpadali nie mogąc do końca zrozumieć, jak się to stało.

— Pyta pan o zabezpieczenie — odezwał się Dragon. — Można mówić o tradycyjnym.

— Co to znaczy tradycyjne? — nalegał Braun.

— Muzeum mieści się w starym zamku — tłumaczył Dragon. — Mury miejscami mają nawet metr grubości, solidne kraty w oknach. Cóż więcej? — rozłożył bezradnie ręce.

— Tak, rozumiem — pokiwał głową Braun. — Jak na obraz bez większej wartości, to i tak dużo.

— To nie jest tak, jak pan myśli.

— Czy dlatego, że Alfred Potocki już nie żyje?

— To jest już bez znaczenia.

— Co w takim razie ma znaczenie?

Nawet nie wiedzą, co kradną — pomyślał Dragon. Bawiła go ta wymiana zdań, podczas ' której zdradzał' im rzeczy powszechnie wiadome, doskonale znane ludziom z jego środowiska.

Obraz jest częścią tryptyku, który przed wojną wisiał w zamku w Łańcucie — kontynuował wyjaśnienia Dragon. — — Gdy zbliżał się od wschodu front. Potocki korzystając z dobrych stosunków z hitlerowskimi dygnitarzami zapakował swój dobytek do specjalnego pociągu. Było tego podobno szesnaście

wagonów. Jak panowie si? domyślacie, wszystko robione było w niemalym pośpiechu. W takich właśnie okolicznościach zginęło wtedy sporo cennych rzeczy. Komuś, kto—pakował te rzeczy, wpadł w oko niewielki obraz—o tematyce religijnej. Najprawdopodobniej nie zdawał sobie sprawy z jego wartości, ani z tego, że jest częścią większej całości. Po prostu, był to deniego malunek, który będzie sobie mógł powiesić w domu. Trudno mi powiedzieć, kiedy Muzeum' Narodowe weszło w posiadanie tego obrazu. Najprawdopodobniej ktoś znający się na rzeczy kupił to w terenie, by następnie spieniężyć w Desie.

— Gdzie? — zapytał Braun.

— To są, tutejsze antykwariaty — wyjaśnił Wagner.

— Dla lego. kto jest w posiadaniu dwóch wywiezionych części tryptyku, ta trzecia to prawdziwy skarb.

*

* *

— O co mu chodziło z tym obrazem? —zapytał Wagner, gdy wracali do hotelu.

— Daj spokój, nie ma się czym przejmować — bagatelizował sprawę Braun. — Zwyczajna ludzka ciekawość. Chce wiedzieć, kim jesteśmy. co robimy, dla kogo pracujemy. W grę schodzą duże pieniądze i teraz, i na przyszłość. Im więcej będzie wiedział, tym bardziej wygórowane warunki będzie stawiał. Taka jest reguła i trzeba się jej trzymać...

— Bo...?

— Bo wyjątki budzą wątpliwości — odparował Braun. — A co do tego obrazu, to oglądanie go tu, w Warszawie, uważam za stratę czasu.

— To jak ocenimy kopię?

— Uważasz, że to konieczne?

— Przecież od tego, między innymi, zależy powodzenie wszystkiego.

— Rozumiałbym twoje obawy — mówił Braun — gdyby do nas należał wywóz obrazu przez granicę. Ale przecież Getler wziął to na siebie. Jego sprawa. Może chciał zaoszczędzić trochę pieniędzy, może ma własne kanały przesyłowe. Nie mieszam się w to.

— Kurt! Ciągłe się nie rozumiemy! Mnie też mało wzrusza przewóz tego obrazu przez granicę. Chodzi jednak o nasze bezpieczeństwo. W miarę udana kopia w jakiś sposób nam to gwarantuje.

—

— Nie bądź śmieszny. Otto. Gdybym miał na tym polegać, zaliczyłbym się do amatorów.

— Z tego wynika, że planujesz skok w nocy.

— Tego nie powiedziałem. W każdym razie wtedy, gdy muzeum będzie zamknięte.

— Pod tym względem jesteśmy tradycyjni.

— Niestety, tak. Ale są jeszcze szczegóły, które decydują o wszystkim.

— Jeszcze ich nie znamy.

— To kwestia kilku dni.

*

* *

Droga do Żywca upłynęła im szybciej, niż myśleli. Jechali wygodną, szeroką drogą szybkiego ruchu; dopiero za Bielskiem warunki jazdy wyraźnie się popsuły. Coraz więcej tworzyło się korków, mijali całe kolumny furmanek i sporo traktorów. Zatrzymali się w hotelu „Orzeł” tuż przy dworcu kolejowym. Był to stary, trzeciorzędny hotel, miał jednak tę zaletę, że blisko stąd było do zamku, w którym mieściło się muzeum. O miejsce w reprezentacyjnym „Beskidzie” było znacznie trudniej, a poza tym nie chcieli się tam zatrzymywać, znając przyzwyczajenia Getlera, który wybierał zawsze najelegantsze hotele.

Po obiedzie poszli w kierunku muzeum. Już po kilku minutach dotarli do okazałego budynku stojącego w samym centrum miasta. Obeszli go dookoła, po czym wąską uliczką pnącą się w—górze doszli przed bramę. Stanęli przy dawnym murze obronnym. Z dołu dobiegał ich szum ulicznego ruchu.

— A więc to tu — zagadnął Wagner.

Kurt Braun stał w milczeniu, obserwując masywną bryłę zamku. Najważniejsza część pracy zaczynała się właśnie teraz. Zbieranie informacji, tysiące szczegółów, załatwianie najróżniejszych spraw — często niebezpiecznych.

— Masz opinię zdolnego specjalisty — odezwał się znowu Wagner.

— Sam nie wiem, czy rzeczywiście jestem specjalistą. Specjaliści — to specjalizacja w jednym kierunku. W praktyce oznacza to opanowanie do perfekcji jednej metody, .la takiej nie mam.

— Co to znaczy?

—Jest to szukanie słabych punktów.

— Sam widzisz, że takie teoretyzowanie do niczego nie prowadzi. Trzeba się zwyczajnie zabrać do roboty.

Weszli w wąską, brukowaną kocimi łbami bramę. Wagner, który znał trochę język polski, przystanął przed dużym afiszem informującym o wystawie malarstwa polskiego ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.

Dragon miał dobre wiadomości — powiedział wskazując na afisz.

— Czyli mamy jeszcze dwa tygodnie?

— Tak. I to nam wystarczy!

Przed dziedzińcem zamkowym Skręcili w staroświecką klatkę schodową. Szerokie schody zaprowadziły ich na górę. Od starszej pani sprzedającej bilety dowiedzieli się, że właśnie czynna jest wystawa ludowego tkactwa artystycznego. Muzeum było prawie puste, nie licząc szkolnej wycieczki pod przewodnictwem młodego nauczyciela. Przeszli wolno przez wszystkie sale tworzące jeden ciąg. Gdy byli już w ostatniej, skąd należało przejść z powrotem. Braun stanął w szerokim przejściu oddzielającym jedną salę od drugiej i skinął na Wagnera. Ten błyskawicznie wyciągnął zwijaną metalową miarkę i zaczął mierzyć długość i szerokość sali. Wziął również wymiary, okien, które w przeciwieństwie do tych na parterze nie miały krat.

Tę samą operację powtórzyli w pozostałych pomieszczeniach. O ile Wagnera interesowały jedynie wymiary sal, o tyle Braun wziął na siebie trudniejsze zadanie. Chodziło mu o ustalenie rozkładu klatek schodowych i przejść na piętrze, na którym znajdowało się muzeum. Poza tym chciał zorientować się, ile i jakie pomieszczenia należą do muzeum, nie wyłączając administracyjnych. Pierwszym istotnym szczegółem, który go bliżej zainteresował, były zabite i nie używane—drzwi w jednej z sal. Należało ustalić, dokąd one prowadzą jak są zabezpieczone przed ewentualnym otwarciem. Z oględzin drzwi oddzielających sale dowiedział się, że nie były zamykane. Jedynym więc zabezpieczeniem była potężna krata zaopatrzona w nie mniej potężną kłódkę oraz drzwi zamykane na yalowski zamek. Już teraz wiedzieli, że niecałe piętro zajmowane jest przez sale muzealne. Należało więc ustalić, czy należą one do administracji, czy może do innych użytkowników. Pobyt w muzeum zajął im prawie pół godziny. Opuszczali je wraz z hałaśliwą grupą—uczniów¹, na których przede wszystkim skupiała się uwaga personę:—;. Schodzili tą samą klatką schodową. Mym razem zwrócili pilniejszą uwagę—na drzwi mieszczące się tuż przy wejściu do sal muzealnych. Braun nacisnął wielką mosiężną klamkę. Drzwi ustąpiły. W pierwszej chwili pomyśleli, że znajdują się u pomieszczeniu, do którego od strony sal wystawowych prowadziły zamknięte czy też zabite drzwi. Gdy znaleźli się w małym holu, przekonali się szybko, że tak nie było. Wagner przeklął szpetnie pod nosem. Braun, jakby rozumiejąc o co tamtemu chodzi, powiedział tylko:

— To byłoby zbyt proste.

Napis na obitych ceratą drzwiach nie pozostawiał żadnych złudzeń: „Dyrektor — Wejście przez sekretariat

Oznaczało to kolejną zaporę, zakładając oczywiście, że z sekretariatu, bądź z gabinetu dyrektora prowadzi zagrodzone drzwiami przejście do sal muzealnych. Braun wsunął tam głowę. Wzrok jego spotkał się ze zdziwionym spojrzeniem młodej dziewczyny siedzącej za biurkiem. Jeden rzut oka pozwolił mu zorientować się w rozkładzie pomieszczenia. Jego uwadze nie uszedł także istotny szczegół: drugie oprócz prowadzących do gabinetu dyrektora drzwi, i to w miejscu, w którym ich oczekiwał. Zanim dziewczyna zdążyła cokolwiek powiedzieć. Braun skłonił głowę, jakby ją chciał przeprosić, po czym wycofał się szybko do małego holu, a stamtąd na klatkę schodową.

— Jest coś? —zapytał zniecierpliwiony Wagner.

— Są drzwi, ale chyba nie te, o których myślimy.

— Dlaczego?!

— Zjrzyj do tego, co zapisałeś.

Wagner poszperał w swoich zapiskach, po czym powiedział:

— Tamte miały prawie półtora metra szerokości.

— Odpada. Te w sekretariacie nie mają nawet metra.

— Nie wiesz, czy używane?

— Raczej nic, ale nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością.

— W każdym razie gdzieś prowadzą, a to też informacja.

Braun spojrział na niego pobłażliwym wzrokiem. Wagner nie speszony, rzucił:

— Nie zapominaj, że większość tych tkanin wisiała na ścianach. Może za którąś z nich są jakieś drzwi.

— W takim razie niedokładnie zlustrowaliśmy teren. Wiesz dobrze, że za często nie możemy się tu pojawiać. A robota ledwie zaczęta., praktycznie szukamy po omacku.

Zeszli na dół mijając tęgiego jegomościa. Stał przed małym pomieszczeniem przypominającym portiernię. Wagner nic siłąc się zbyttnio na swoją łamaną polszczyznę zapytał go o najbliższy telefon.

— Niedaleko stąd. Wyjdzie pan z bramy i następny dom w kierunku rynku.

— A stąd nie można zadzwonić? Na jego twarzy widać było wahanie.

— W zasadzie nie wolno. Ale proszę... Wagner tylko na to czekał. Wszedł do małego pomieszczenia, po czym wykręcił numer hotelu prosząc o polecenie z własnym pokojem. Oczekiwał chwilę po czym odłożył słuchawkę.

— *Nobody home* — powiedział po angielsku wciskając mężczyźnie pięciodolarowy banknot. Skłonił się zdumionemu tą hojnością mężczyźnie,

— Masz coś? — zapytał stojący przed wejściem Braun.

— — W tym kantorku wiszą jakieś klucze. Myślę, że do muzeum.

— W takim razie warto sprawdzić... Wyszli tą samą wąską, brukowaną kocimi

łbami bramą wjazdową. Robiło się ciemno. Patrzyli na zapalone okna na pierwszym piętrze.

— Stąd ledwie kilka metrów.

— Ale ryzyko zbyt duże.

Ta strona zamku wychodziła co prawda na wąską uliczkę, ale ruch był na niej spory. Kilkadziesiąt metrów dalej był rynek z licznymi sklepami, obok restauracja i kawiarnia oraz małe sklepy z wyrobami rzemieślniczymi. Nic musieli czekać do nocy, by wiedzieć, że ludzi przewija się tutaj sporo. A poza tym małeńki placzyk przed bramą wjazdową do muzeum oświetlała potężna lampa jarzeniowa.

— To chyba tyle na dzisiaj — odezwał się Wagner.

— Niezupełnie. Powinniśmy mieć wymiary skrzydła, w którym mieści' się muzeum. To kwestia kilku minut.

Wyciągnął coś, co przypominało zwykły ołówek zakończony niewielkim kółeczkiem, a następnie przeszedł wzdłuż frontowej ściany budynku.

— To wszystko — powiedział zadowolony.

— A szerokość? — zapytał zdziwiony Wagner.

— Szerokość to głębokość bramy wjazdowej — odpowiedział.

— I co z tego? Tam jest jeszcze mały dziedziniec...

— Z włazem kanalizacyjnym pośrodku — przerwał mu Braun.

— Widzę, że w czasie mojej wizyty w kantorku nie próżnowałeś.

Braun odpowiedział mu tylko uśmiechem.

— W takim razie — nie dawał za wygraną — powiedz, jaką grubość mają mury?

— Tu niestety muszę cię zmartwić.

— Czyżby? Mierzyłem w kilku miejscach i wszędzie po sześćdziesiąt centymetrów.

— To mury! Ale nie mieszaj z nimi ścianek działowych. Są i takie. Poza tym, jedne są tak stare jak ten zamek, inne stawiane później.

W drodze powrotnej Braun wstąpił do sklepu papierniczego kupując kilka arkuszy papieru milimetrowego, kilka linijek, ekierok i ołówków.

— Nie przesadzasz? — z powątpiewaniem w głosie strofował go Wagner.

— Może, ale jest to przesada we właściwym kierunku. Chodzi przecież o plan muzeum.

— Czy to, że jakaś salka jest o kilka czy kilkadziesiąt centymetrów mniejsza lub większa może mieć dla nas jakieś znaczenie?

— Nie dają mi spokoju te drzwi. Kiedyś zamek ten miał określone przeznaczenie. Mieszkała w nim jakaś magnacka rodzina.

— Z tego jeszcze niewiele wynika — szydził Wagner.

— Przeważnie w tego rodzaju domach były co najmniej dwie klatki schodowe. Jedna dla właścicieli, a druga dla służby — tłumaczył Braun. — Nie twierdzę, że dla nas jest to jakaś rewelacja, ale trzeba to koniecznie ustalić.

W hotelu usiedli przy stole, próbując na podstawie zebranych danych naszkicować plan muzealnych pomieszczeń. Wagner przez kilkanaście minut przypatrywał się robocie Brauna, aż wreszcie znudzona położył się na łóżku.

Po godzinie plany były już gotowe.

— Masz coś ciekawego? — zapytał Wagner.

— Więcej niż myślisz.

— No to się chwal — usiadł na krześle, czekając, czym uraczy go Braun.

— Spójrz — podsunął Wagnerowi gotowy plan. — Muzeum ma kształt zbliżony do sześciokąta. Po środku mały dziedziniec z kanałem ściekowym. By przejść przez wszystkie sale, trzeba przemierzyć niemal pełne koło, po czym trzeba wrócić, pokonując tę samą drogę w przeciwnym kierunku.

— Tyle to ja też wtem — odparował Wagner.

— To prawda — odpowiedział nie spieszony

Braun. — Nic wiedzieliśmy jednak, dokąd prowadzą tamte zabite drzwi. Z tego planu wynika, że albo jest tam jakieś pomieszczenie, albo zapasowe) schody. To jeszcze nie wszystko. Nie wiemy również, co jest tutaj — wskazał ołówkiem na zakreskowaną powierzchnię. — — Ty może nic wiesz!

Braun spojrział z zaciekawieniem na Wagnera. Ten uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

— Pamiętasz te drzwi z bramy wjazdowej vis— a—vis wejścia do muzeum? To jest wejście do biblioteki, czynnej co drugi dzień z wyjątkiem sobót i niedziel, a więc w poniedziałek, środę i piątek. Tu są godziny otwarcia — rzucił na stół świstek papieru.

—A co jest tu? — Braun wskazał na linię oddzielającą bibliotekę od muzeum. Wagner wzruszył ramionami.

— Ściana — odpowiedział i zaraz dodał: — Ale za to mam coś ekstra. Zaraz za drzwiami, tymi vis— a—vis wejścia do muzeum, jest zejście do piwnicy.

— Czy piwnica może nas interesować? — zastanawiał się Braun.

— Nawet bardzo. Schodzimy do piwnicy i czekamy tam do zamknięcia biblioteki. Z biblioteki dostajemy się do muzeum „na mur” i tą samą drogą wracamy. Po drodze mijamy tylko tego stróża w portierni.

— Jego okienko wychodzi niemal na drzwi do biblioteki.

— To jest jedyna żywa przeszkoda. Bibliotekę zamykają o dziewiętnastej. Do otwarcia muzeum mamy więc szesnaście godzin.

— Nie my, tylko Getler! — wtrącił cierpko Braun. — Z tego wynika że ze wszystkim uwiniemy się przed północą. Jeżeli zaraz oddamy obraz Getlerowi, jesteśmy czyści jak łąza.

— Pod warunkiem, że stróż nie wejdzie nam w paradę.

— W tej chwili mamy już pierwszy projekt skoku.

— Wiem, co masz na myśli. Załatwienie dozorcę — to najprostszy sposób.

— Na razie innego nie mamy.

— Myślisz, że przedostanie się z biblioteki do muzeum nie kalkuluje się?

— Nic wiem, jak gruba jest tam ściana. A poza tym, to zawsze trochę hałasu.

— Innymi słowy, załatwiamy dozorcę, otwieramy kratę, następnie drzwi, bierzemy jeden obraz, zostawiamy drugi, i tą samą drogą powrót.

— Jakie to proste — dziecinnie proste — zaśmiał się Wagner. — Okazuje się, że jedyny problem, to stary, prawie niedołączny dozorca. Ogłuszyć, związać, zakneblować.

— Może mieć jeszcze aparaturę alarmową — powiedział Braun.

— Aparatura alarmowa — kpił Wagner. — Też problem. Wystarczy wyciągnąć starego z tej jego nory.

— Pracujesz z Getlerem czy ze mną? — zapytał dziwnie spokojnym głosem Braun.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie zimnymi spojrzeniami, jak ludzie, którzy wiedzą o sobie wszystko.

— Już dobrze Kurt, już dobrze... choć pytanie na miejscu.

Wyjął papierosa i nie częstując Brauna szybko go przypalił. Zaciągnął się łapczywie dymem i powiedział:

— Zgódźmy się, że pracujemy razem.

— Czyli Getlera nie wyłączasz? — zapytał Braun.

— Bo nic mogę. Zlecił nam robotę. Za te pieniądze można się już skromnie urządzać, albo nieźle zabawić. Nie wiem, co wybierasz — próbował kokietować Wagner.

— Odlóżmy tę rozmowę na potem — zaproponował Braun. — Jest jeszcze wiele niewiadomych. Musimy obejrzeć piwnice.

— Co z tym stróżem? — zapytał Wagner.

— Spróbujemy najpierw do biblioteki. Przy okazji zobaczymy, czy on ma codziennie służbę.

Następnego dnia szli znajomą ulicą w kierunku muzeum. Wagner wszedł w wąską bramę prowadzącą na zatokowy dziedziniec i zniknął za drzwiami prowadzącymi do biblioteki. Po chwili zjawił się Braun. Stał na klatce schodowej, takiej samej, jaka prowadziła do muzeum.

— Lustrzane odbicie — powiedział Braun.

— I tak, i nie. Spójrz, tu jest wejście do piwnicy, a tam — wskazał w stronę muzealnego wejścia — stróżówka z tym cholernym stróżem.

Zeszli krętymi schodami w dół. Dla ludzi wchodzących i wychodzących z biblioteki byli już niewidoczni. Braun wyciągnął miniaturową latarkę. W ostrym snopie światła zobaczyli przed sobą masywne kraty.

— Takie same jak na górze — odezwał się szeptem Wagner.

— Takie same, tylko kłódka inna.

— Idziemy dalej?

— Powinniśmy — — powiedział Braun wyciągając z aktówki kilka cienkich, w dziwaczny sposób zakrzywionych drutów. Przez kilka minut obracał nimi wokół kłódki.

— Kurt, przecież to całe wieki — niecierpliwił się Wagner.

Z góry doszedł ich jakiś dźwięk. Ktoś schodził po schodach. Krok: stawały się coraz głośniejsze, aż wreszcie usłyszeli głucho uderzenie drzwi z znów nastąpiła cisza.

— Zwariować można — wykrztusił Wagner.

— Przyznaj się, mocno ci bije serce — zażartował Braun.

— Nie jest tak źle, ale po cholere niepotrzebni kibice.

— Żadnego kibica tu nic zobaczysz. To żelastwo nie było otwierane przynajmniej przez kilka miesięcy — powiedział Braun, podsuwając pod nos otwartą kłódkę. — Z tej strony nikogo nie spotkamy. Tam dalej — pokazał w kierunku muzeum można się ewentualnie na kogoś natknąć.

Zamknęli kraty, nakładając i tylko zaciskając kłódkę. Posuwali się wolno, krok za krokiem. Wokół panowała cisza i nieprzyjemny chłód. Przystanęli na chwilę nasłuchując.

— Zaświeć latarkę — odezwa! się Wagner.

W jej świetle zobaczyli szeroki korytarz biegnący łagodnym łukiem, ze sklepieniami podpartymi grubymi filarami. Za nimi znajdowały się dosyć obszerne nisze. Szli dalej, aż w końcu drogę zagroziła im ściana.

— Inaczej to sobie wyobrażałem —: powiedział z wyrzutem Braun.

— Zawsze musi być różnica między rzeczywistością a naszymi wyobrażeniami, bo inaczej nie miałyby one sensu — sentencjonalnie stwierdził Wagner.

Braun zawrócił nie zważając na Wagnera. Szedł z powrotem oświetlając każdą niszę. Wreszcie zniknął w jednej z nich. Wagner podążał za nim. Za jednym z filarów usłyszał głośne sapanie współnika.

— Kurt? — odezwał się po raz pierwszy półgłosem.

W tym momencie światło latarki ponownie zabłysło, oświetlając głębokie, półokrągłe wejście.

— To jest to, czego szukamy.

Wyjście łączyło piwnicę ze schodami, które prowadziły na górę.

— Tedy dojdziemy na pierwsze piętro. Trzeba sprawdzić, czy od tej strony nie ma jakiegoś dodatkowego Zabezpieczenia— wyszeptał Braun

Posuwali się z największą ostrożnością, krok po kroku, oświetlając drogę latarką owiniętą w chusteczkę. Po kilkunastu metrach doszły ich odgłosy pisania na maszynie. Wagner wskazał głową w stronę, z której dochodziły dźwięki.

—Wszystko się zgadza — odpowiedział Braun. — Tam kiedyś były dwa wyjścia na kuchenne schody. Teraz za jednym z nich jest sekretariat i gabinet dyrektora, za drugimi — muzeum.

Postali przez chwilę. Z pokoju w dalszym ciągu dochodziły stuki maszynowego pisania. Gdy zadzwonił telefon, Braun uwolnioną od chusteczki latarką oświetlił drzwi. Z tej odległości niewiele mógł zobaczyć. Nic mógł z całą pewnością powiedzieć, czy drzwi te były używane. Podszedł kilka kroków i nachylając się nad posadzką potarł po niej ręką. Wyraźnie mu ulżyło. Całą dłoń pokrywała warstwa kurzu. Teraz mógł spokojnie przyjrzeć się drzwiom, które go najbardziej interesowały,

*

* *

Zarówno Kurt Braun, jak i Otto Wagner zgodni byli co do planu całej akcji. W jej szczegóły postanowili wtajemniczyć Getlera. Ustalili, że będą działać oddzielnie. Wagner kręcić się będzie w pobliżu bramy wjazdowej do muzeum. Do niego należeć będzie informowanie Brauna o wszystkich nieprzewidzianych zdarzeniach, zwłaszcza wówczas, gdy ten wychodzić będzie z zamku przez biblioteczne drzwi. Do tego służyć im miały dwa miniaturowe aparaty nadawczo—odbiorcze typu „walkie—talkie”. Chodziło przede wszystkim o wykluczenie spotkania z miejscową milicją, Wagner miał również zadzwonić do portiera w momencie, gdy Braun zamykać będzie drzwi wyjściowe prowadzące do biblioteki. Gdyby doszło do niepożądanego spotkania z dozorcą, Braun wezwać miał wówczas do pomocy Wagnera.

— Wszystko jasne — mówił z zadowoleniem Wagner. — W ciągu godziny obraz będzie nasz. Nie przewiduję większych komplikacji. Gdyby nie ten przeklęty stróż, wszystko byłoby proste.

— Jak sądzisz — zapytał Braun — czy w związku z ekspozycją obrazów nie zdecydują się na dodatkowe środki ostrożności?

— Wszystko możliwe, ale nie sędzę. Prawie za tydzień otwarcie. Od poniedziałku muzeum przez kilka dni będzie nieczynne... Niby mogliby zdążyć, ale to mało prawdopodobne. Zresztą... będziemy na otwarciu, to się zorientujemy

—Musimy przecież zobaczyć ten obraz —zaśmiał się Braun. — Pozostaje nam zadzwonić do Getlera i umówić się z Dragonem po odbiór kopii.

— A co zrobimy z resztą czasu? Na razie żyjemy, jak mnichy, robota, spanie. Rozumiem, że w naszym interesie nie trzeba się w tej mieścinie zbyt rzucić w oczy, ale...

— Żadne „ale” — przerwał mu Wagner. — Jeszcze dziś załatwię telefony, a już jutro o tej porze idziemy ostro w gaz. Tani kraj, a poza tym sporo tu ładnych dziewcząt.

*

* *

Telefon Wagnera wprowadził Dragona w nastrój podniecenia. Nic potrafił znaleźć sobie miejsca, często zaglądał do pracowni, próbował ponaglać Sobolewskiego, który zapewniał, że skończenie obrazu to kwestia kilku dni. Niby wszystko było gotowe. Sam obraz Mecenas ocenił jako udany. Do złudzenia przypominał oryginał z Muzeum Narodowego. Tylko wprawne oko znawcy mogłoby znaleźć różnice w niektórych fragmentach płótna. Różnice dotyczyły głównie sposobów prowadzenia pędzla, choć te Sobolewski ćwiczył z zadziwiającym samozaparciem. Potrafi! kilkadziesiąt razy powtarzać ten sam ruch pędzla, za każdym razem dobierając odpowiednią porcję farby. Dragon wraz z Karczewskim niejednokrotnie podpatrywali pracę Sobolewskiego. Byli pełni podziwu, choć nie zdradzali swego uznania. Nie dziwili się też, że Student zużywa tak dużo farby. Teraz jednak nie kryli swego zniecierpliwienia.

— Termin upływa, a pan muska i muska to płótno — niecierpliwi się Dragon. — Jak tak dalej pójdzie, to całą robotę cholera weźmie, bo nie zdążymy tego postarzyć.

Karczewski wtórował mu w tych połajankach, choć Student wyraźnie dawał mu do zrozumienia, żeby się nie wtrącał:

— Kolorów nie rozróżniasz, a głos zabierasz. Po takim wstępie dochodziło zazwyczaj do ostrzejszej wymiany zdań. Konflikt zażegnawał Dragon, Kończyło się to lampką koniaku, podczas której Sobolewski i Karczewski milczał, słuchając dobrych rad zadowolonego z siebie Mecenas.

— Panowie, nie ma co odświeżać dawnych uraz. To do niczego nie prowadzi.

W gruncie rzeczy cierpkie uwagi pod adresem Karczewskiego sprawiały mu miłą satysfakcję. Cenił tego człowieka za spryt i operatywność, ale nie łudził się, że w branży, w której przyszło mu pracować, jest dyletantem. Odkrycie Studenta było wyłączną zasługą Karczewskiego. Tym bardziej cieszyły Dragona złe stosunki między nimi. Sobolewski był złotą żyłą, którą należało umiejętnie eksploatować. Zamówienia zagranicznych odbiorców wzrastały. Od czasu do czasu zdarzały się takie zamówienia, jak ostatnie... Nigdy nie mówiono, dlaczego cena jest tak rażąco wysoka w stosunku do zamówienia zwykłego, ale każdy wiedział, co się za tym kryje. Płacono za milczenie i za tzw. ryzyko. Wpadka Getlera bądź jego ludzi mogła ściągnąć na głowę Dragona wiele nieprzyjemności i to usprawiedliwiałoby wysoką cenę, jaką płacił za obraz. A poza tym całą sprawą interesował się Max. Getler płacił, ale i wymagał. Wiedział o tym dobrze Dragon i

dlatego tak bardzo zależało mu nie tylko na solidnym wywiązaniu się z przyjętego zamówienia, ale i z dotrzymania terminu.

— Ile czasu zajmie panu spatynowanie obrazu? — spytał Dragon.

— To najtrudniejsza robota — odpowiedział Student. — Nawet przy najlepszych „grzałkach” ryzyka nie da się wykluczyć. Małe przegrzanie zamiast spodziewanych pęknięć może skończyć się zniszczeniem kopii.

— Są przecież inne metody.

— Można patynować popiołem i sadzą z odrobiną mleka. To jest pewniejsze, ale nie daje takich efektów.

— A tusz? — wypytywał niecierpliwie Dragon.

— Sądziłem, że tusz będzie tu niepotrzebny!

— Jak to? — zdziwił się Dragon.

— To jest dobre dla „autentyków” znajdujących na strychach, a nie w Muzeum Narodowym — zakpił Student. — Odpada również żelatyna. Można jeszcze podrobić pęknięcia.

— Pan to potrafi — głos Dragona odzyskał pewność siebie.

— Można spróbować. Sądzę, że jest to najpewniejszy sposób.

— Ile czasu zajmie to panu?

— Tu nie o czas chodzi. Niech pan załatwi na jutro szkło powiększające. Możliwie jak największe.

*

* *

W umówionym dniu do domu Dragona przybył Wagner z Braunem. Czekala ich niespodzianka. W salonie oprócz gospodarza był Karl Getler. Chwilę trwało powitanie połączone ze zwyczajną w takich okolicznościach wymianą zdań. Dragon robił wszystko, by wieczór upływał w dobrym nastroju. Nie brakowało trunków. Stoi z zakąskami niemal uginał się od kawioru, za którym przepadał Getler. Gdy fala pierwszego podniecenia opadła, rozmowa przeszła na tematy bardziej związane z celem wizyty. Pierwsze skrzypce grał Getler starając się udowodnić swoją kompetencję i fachowość. Dla Dragona był to sygnał, że należy przejść do najważniejszego punktu wieczoru. Przeprosił zebranych, po czym wrócił niosąc ze sobą obraz. Zapalono dodatkowe światła. W pokoju zapanowała cisza. Dopiero po dłuższej chwili Getler poprosił o szkło powiększające. Przyglądał się przez nie całemu obrazowi i jakby tego mu było mało, zapytał o fotokopie. Gdy miał już dość porównań, zwałił się ciężko na fotel.

— Panowie, dopełniajcie formalności — powiedział z wysiłkiem.

Wagner bez słowa wręczył Getlerowi kopertę. Gdy wychodzili z willi Dragona, Getler zwrócił się do niego poufale:

— Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się znowu. Mam dla pana nowe zamówienie.

— Co do mnie, zrobiłem wszystko. Życzę panom powodzenia. Proszę uważać na siebie. Od tego zależy przecież nasza dalsza współpraca,

O, niech pan nie przesadza, panie Dragon — śmiał się beztrudno Getler. — Wkrótce spotkamy się.
— Będę czekał na wieści od pana.

*

* *

Następnego dnia przed południem z Warszawy w kierunku Żywca wyjechały dwa samochody. W czerwonym audi jechali Otto Wagner i Kurt Braun. Kilkaset metrów za nimi w białym polonezie — Karl Getler.

— Trudno odmówić Getlerowi sprytu — odezwał się Braun, gdy minęli Janki, a pusta szosa pozwoliła na szybszą i swobodniejszą jazdę.

— Co masz na myśli? — zapytał naiwnie Wagner.

— Ten samochód z polską rejestracją.

— Nie wiem, co w tym dziwnego, Getler chwalił się, że wynajął go na kilka tygodni. Podoba mu się ten wóz. Mówił mi nawet, że być może kupi sobie taki. Nie węszyłbym tutaj niczego nadzwyczajnego. Chce go po prostu wypróbować.

— A przy okazji załatwić niektóre sprawy — dodał Braun.

— I co w tym złego? To się nawet opłaca — tłumaczył Wagner.

— Testowanie wozu czy załatwianie swoich spraw?

Wagner jakby wytrzeźwiał. Popatrzył na siedzącego obok Brauna i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— To nie jest takie głupie.

— Stary, wypróbowany sposób. Poza tym prawie w stu procentach bezpieczny. Co najwyżej mogą mu zabrać obraz, do którego i tak się przecież nic przyzna. Trudno mu będzie udowodnić przemyt dzieł sztuki. Tak czy inaczej powrót ma zagwarantowany.

— Nasze obawy, a raczej twoje, Kurt, nie miały więc sensu.

— Mówisz o tym dopiero teraz, kiedy ledwie domyślamy się, jakim sposobem Getler przewiezie obraz za granicę. Muszę przyznać, że sprytnie to wykombinował. W gruncie rzeczy ryzykuje tylko stratę ładnej forsy.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów — rzucił Wagner, — To już jest coś.

— Pięćdziesiąt tysięcy! Faktycznie nie wiemy, ile to jest, bo nie wiemy, ile weźmie za oryginał. .

— I to cię dręczy — zachnął się Wagner.

— Mówiłeś, że pracujemy razem. Sądziłem, że najrozsądniej jest pracować dla siebie.

— Okazuje się, że pracujemy dla Getlera.

— O co ci chodzi, Kurt? Czy żałujesz, że podjąłeś się tej roboty?

— Sam wiesz, że za wcześnie o tym mówić.

— Słuchając ciebie dochodzę do wniosku, że chciałbyś wykiwać Getlera.

— Nie masz racji. Wiesz trochę o mnie. U siebie jestem spalony. Policja dużo o mnie wie, a to, jak ci wiadomo, grozi bezrobociem.

— Powinieneś więc być wdzięczny Getlerowi.

— Wierz mi, Otto, on jest amatorem. Sprytnym — to fakt, ale tylko amatorem. Działa przecież w pojedynkę. Kontakty od przypadku do przypadku. Z całej roboty największy profit zbiera sam. A poza tym nie mamy żadnej gwarancji, że nie wchodzimy komuś w paradę. Znałem taką historię, kiedy kilku frajerów zrobiło skok na muzeum. Wzięli jakieś znane „nazwisko”, ale za to coś mało ciekawego, pod względem handlowym zupełnie bezwartościowego.

— Tak, słyszałem o tym — wtrącił cicho Wagner.

— Wiesz, jak skończyli?

— Podobno, jak zorientowali się, że na to samo muzeum planują skok ludzie Maxa, zwrócili im obraz.

— Nie im, tylko policji. Sądziła, że posiadzą sobie roczek, dwa i sprawa przyschnie. Nie przewidzieli, że swoim skokiem, „spalili” Maxowi muzeum. Policja dostała cynk i puściła ich wolno, a Max powystrzelał wszystkich jak kaczki. Stara policyjna zasada: nie wtrącać się w złodziejskie porachunki.

— Sądziłem — mówił dalej Braun — że po udanym skoku moglibyśmy się usamodzielnąć. Znasz Polskę. I mnie zostało trochę adresów ludzi, którzy chętnie lokują pieniądze w czymś trwałym,

— Przykro mi Kurt, ale muszę ci odmówić. Braun zamilkł patrząc na wijącą się przed nimi drogę. Nie miał już wątpliwości, że Wagner i Getler stanowią spółkę, dla której on pracuje. Został przez nich wynajęty do odwalenia najgorszej roboty. Dopiero teraz uświadomił to sobie z całą pewnością. Otto Wagner był jego aniołem Stróżem. W samej operacji będzie go tylko ubezpieczał, niewiele ryzykując.

Gdyby cofnąć czas — zastanawiał się. — Bzdura! Też podjąłby się tej roboty. Od kilku miesięcy był bez grosza, szukając bezskutecznie jakiegokolwiek zajęcia. Tylko gdyby wiedział to, co teraz wie... Kiwnąć ich obu. Jeszcze raz przypomniał sobie rozkład sal muzealnych, wszystkie przejścia, schody, piwniczne korytarze. Teoretycznie wszystko jest możliwe.

— Muszę ci coś powiedzieć — wyrwał go z zamyślenia Wagner. — Getler ma nóż na gardle. On niewiele zarobi na tym obrazie, chociaż cena, jaką mu oferują, jest bardzo wysoka.

— Możesz mówić jaśniej?

— Nie denerwuj się. Kurt. Powiedz mi lepiej, ilu ludzi załatwił wówczas Max.

— A skąd mam o tym wiedzieć? A zresztą co to ma do rzeczy? — zdziwił się Braun.

— Ma, i to więcej, niż myślisz. Max sprzątnął wówczas dwóch facetów, którzy włamali się do tego muzeum. Tym trzecim, którego zaoszczędzili — jestem ja!

Twarz Brauna na moment skamieniała. Wolno, bardzo wolno docierała do niego okrutna prawda.

— Słucham cię dalej — wydusił z siebie z niemalym trudem. — To dziwne, że oszczędzili właśnie ciebie.

— To zwykły przypadek — odparł Wagner. — Byłem pewny, że mnie rozwalą i zapytałem, co z Getlerem. Okazało się, że nie mich pojęcia o jego istnieniu.

— Jaka w takim razie była jego rola? — zapytał Braun.

— Taka sama, jak teraz. Tylko że wówczas działał na własną rękę wchodząc w paradę Maxo—wi. Teraz Max dał nam ostania szansę. Tobie również, Kurt.

— Wpakowaliście mnie w niezłą kabałę.

— Posłuchaj, Kun! Jesteś spalony. Załatwiłeś zbyt wiele obrazów, żeby tak szybko o tobie zapomnieli. Ciągnie się za tobą dobra legenda. Tylko że jesteś trefny. Wpadłeś w oko policji, a ludzie z branży o tym wiedzą. Zwłaszcza Max, który ma dobrych informatorów na dobrych miejscach. Wszystko się uda, a wtedy i ja, i Getler, i ty zaczynamy robić dla Maxa.

— Podobno jestem trefny!

— Tak! Jesteś spalony na dłuższy czas u nas, ale nie tu. Wierz mi. Max ma dobre informacje. Policja będzie cię ścigać wszędzie, ale nie w Polsce. A ten kraj Max obiecał Getlerowi.

— O ile wszystko się uda.

— Tak! Ale chyba nie wątpisz w to?

— Co zrobilibyście, gdybym teraz wycofał się z całego interesu?

— Nie zrobisz tego. Kurt. jedziemy na jednym koniu.

— Niezupelnie! Skłonny jestem uwierzyć, że razem z Getlerem uwikłany jesteś w całą tę kabałę. Stawką jest wasza skóra. Mnie chodziło głównie o forszę.

— Mylisz się. Max wie o twoim udziale.

— Bydlak! — wyrwało się Braunowi.

— Daj spokój. Kurt! To do niczego nie prowadzi. A zresztą, o czym my mówimy. Za kilka dni, najdalej za tydzień będziemy już w domu. Wszystko się uda... musi się udać.

— Niezły z ciebie aktor, Otto. Dobrze to wszystko odegrałeś. Tylko dlaczego nic powiedziałeś mi tego wcześniej?

— Przy robocie potrzebny jest spokój. To muzeum, to po prostu twierdza, do której trzeba wejść i wyjść. Nic ma lam elektrycznych pułapek i innych Świństw, które ściągają ci na kark policję. Tak jest w całej Polsce, z wyjątkiem kilku większych muzeów. To jest dla nas szansa. Teraz, kiedy już wszystko wiesz, jeszcze bardziej powinno zależeć ci na tym obrazie.

— Powiedz, jaką forszę dostanie Getler za obraz?

— Już dostał. Sto tysięcy marek i wolną rękę. Zgodnie z umową dostaniesz dwadzieścia tysięcy dolarów. Drugie dwadzieścia tysięcy, te, które ja miałem dostać, idą do podziału między mnie i Getlera. Trochę dostał Drugon, moim zdaniem i tak za mało. skoro będziemy tu częściej przyjeżdżać. Dodaj sobie jeszcze koszty podróży, pobytu, bilans chyba się zgadza.

*

* *

Kilkanaście kilometrów przed Częstochową Getler zatrzymał swojego poloneza na poboczu drogi.

— Co się stało? — zapytał zdziwiony Wagner.

— Nic! Chciałem rozprostować kości i zaprosić was na obiad — odparł Getler.

Od strony czerwonego audi nadchodził Braun.

— On już wie — powiedział ściszym głosem Wagner.

— To nawet dobrze. Tak będzie lepiej...

A gdy Braun był już blisko, zwrócił się do niego:

— A więc wszystko jasne, nie mamy już żadnych tajemnic, panie Kurt.

Braun nic nie odpowiedział. Jego lekki uśmiezek i nonszalancka postawa zdradzały to, o czym myślał. Zauważył to Getler.

—: Niech pan nie przesadza. Rozumiem pana rozterkę, ale za kilka dni będzie już po wszystkim i wtedy, przypuszczam, będzie mi pan wdzięczny.

— Lubię decydować za— siebie.

— Na ten luksus tylko niektórzy mogą sobie pozwolić, panie Kurt. Niech mi pan wierzy. Świat jest cudowny, tylko od dawna podzielony między mądrzejszych.

— Tracimy niepotrzebnie czas, panie Getler — przerwał mu Braun.

— Ucz się. Otto. tak mówi rozsądny facet, który wie, czego chce.

— Panowie! — twarz Getlera straciła uśmiech, odsłaniając liczne zmarszczki i zmęczone oczy. Ekspozycja w Żywcu otwarta będzie dla publiczności w najbliższą niedzielę. Kiedy planujecie robotę?

— Następnego dnia wieczorem — odparł bez namysłu Braun.

— Im prędzej, tym lepiej — — przytaknął mu Wagner. — Trzeba jeszcze ustalić, w jaki sposób przekażemy ci obraz.

— A więc w nocy z poniedziałku na wtorek — powiedział Getler.

— Dlaczego w nocy? — zdziwił się Braun. — Bibliotekę zamykają o dziewiętnastej. Przed północą chcę być w łóżku, a następnego dnia jeszcze przed południem — w Wiedniu.

— W porządku — odezwał się Getler. — Zostały jeszcze szczegóły przekazania płótna. Wcześniej spotykamy się w muzeum. Wystarczy, żeby przyszedł tylko pan — zwrócił się do Brauna. — Będę stał w pobliżu płótna, które nas interesuje. Gdy zobaczę pana, zbliżę się do obrazu.

— Po co to całe przedstawienie? — zdziwił się Braun.

— Żeby nie było wątpliwości — warknął Getler. — Takie są zresztą instrukcje.

— A więc będzie ktoś jeszcze? — zapytał Braun.

Getler skinął potakująco głową. Braun na chwilę zamyślił się. Kie ulegało wątpliwości, że tym kimś będzie człowiek Maxa.

— Hu ich będzie? — zapytał Braun.

— To pytanie nie ma sensu. Odpowiedź jest bez znaczenia. Nie ma różnicy, czy będzie ich dwóch, czy trzech. Ja wiem o jednym. Jeżeli to pana interesuje, jest to historyk sztuki, znany ekspert... Spotkam się z nim w muzeum.

— Jak pan będzie przewozić obraz przez granicę? — zapytał Braun.

— Martwi się pan za siebie i za mnie.

— Martwię się o swoją skórę. O pana także, panie Getler. A poza tym lubię wiedzieć, od czego zależy moje życie.

— Brawo, Braun — roześmiał się Getler. — Oznacza to, że ta część roboty, nad którą pan czuwa, skończy się bez pudła.

Podszedł do bagażnika, wyjął z niego podnośnik, zapasowe koło i po zablokowaniu dwóch kół zaczął podnosić samochód. Polonez przechylił się odsłaniając podwozie. Getler spojrzał na Brauna,

— Na co pan czeka?

Zaproszenie było aż nazbyt wymowne. Toteż Braun nie oglądając się nawet za kawałkiem płachty wsunął się pod samochód. Przez chwilę trwało milczenie. Getler znieruchomiał, czekając na to, co powie Braun. Minęło kilka długich chwil, aż spod samochodu wysunęła się głowa Brauna.

— Smutno mi tu samemu.

Getler zaniósł się spontanicznym, gardłowym śmiechem. Śmiał się dłuższą chwilę, po czym kłękając wsunął głowę pod samochód. Sięgnął ręką szukając nią po omacku. Wreszcie ręce jego znalazły, wąską szczelinę. Pociągnął mocniej i wtedy Braun pod wypukłością, która okazała się przykrywą, zobaczył niewielkie wgłębienie. Cały spód pokryty był grubą warstwą lepiku doskonale maskującą skrytkę.

—Z drugiej strony samochodu jest taka sama— powiedział Getler.

Istotnie, w miejscu, gdzie lepik tworzył maleńką szczelinę, znajdował się drugi schowek. Braun otworzył go scyzorykiem, po czym zatrzasnął i wyczołgał się spod samochodu. Otrzepał ręce i kiwnął porozumiewawczo głową.

— Dobrze pomyślane — rzucił Getlerowi — Nawet jeżeli pana złapią, to może pan cieszyć się życiem, Tyle że w polskim więzieniu — dodał zaraz.

— Nie biorę tej ewentualności pod uwagę — odciął się Getler, który spodziewał się komplementów,

— Trzeba jeszcze ustalić sposób i miejsce przekazania obrazu — odezwał się milczący dotąd Wagner. — Ze względu na porę, najbezpieczniej będzie na dworcu.

— Zgoda — powiedział Getler. — Będę czekał na wasz telefon, po czym spotkam się z panem, panie Braun, przed jedną z kas. Powiedzmy tam, gdzie będzie najwięcej ludzi.

— A o której spotkam się z panem W muzeum?

— W samo południe, w niedzielę.

*

* *

W poniedziałek rano Braun wstał wcześniej niż zwykle. Wziął kąpiel, a następnie nie budząc chrapiącego w najlepsze Wagnera wyszedł przed hotel. Dzień zapowiadał się ciepły, a nawet upalny. Na niebie nie było jednej chmurki. Braun podszedł do czerwonego audi i po kilkunastu minutach był już za miastem.

Jeszcze ze wszystkiego można się wycofać — myślał. — Jeszcze wszystko może się inaczej potoczyć. Za cztery, pięć godzin będzie w Warszawie, a tam w pierwszy lepszy samolot. Mimo woli spojrzął w lusterko. Szosa była pusta.

Maxa nie należy demonizować. To też człowiek, ograniczony w końcu możliwościami. Zwłaszcza tu, w Polsce. Uśmiechnął się do własnych myśli. Wiedział, że nigdzie i przed nikim nie będzie uciekać. Nie dlatego, żeby się bał. Po prostu szkoda byłoby zmarnować taką okazję. Muzeum dla prawdziwego fachowca, za jakiego się uważał, nie przedstawiało większych problemów. Jedyne — to ten poczciwy starszy pan, którego w razie konieczności można unieszkodliwić. Na to był przygotowany. Reszta wymagała tylko rutyny.

Z zacięciem przyglądał się wyniosłym stokom pokrytym bukowymi lasami. Weisnął klawisz radia. Samochód wypełniła przyjemna muzyka. Był rozluźniony i teraz starał się nie myśleć o dzisiejszym dniu. Prowadził samochód szybko i swobodnie. Przystanął dopiero przy restauracji zbudowanej tuż przy drodze z drewnianych bali. Zjadł obfite śniadanie, po czym wrócił do hotelu. C2ckal tu na niego Wagner.

— Gdzie ty się podziewasz? — — przywitał go z wyrzutem.

— Poranny relaks przed dzisiejszymi zajęciami — zaśmiał się Braun.

— W takim razie pora się do nich zabrać.

Sięgnął do małej walizeczki leżącej przed łóżkiem i wyciągnął z niej kopię obrazu.

— Przyjrzyj się temu. żebyś obrazów nie pomylił.

— Wczoraj prawie oczy wypatrzyłem, stojąc przed oryginałem.

— Co sądzisz o kopii? — nie dawał mu spokoju Wagner.

Dopiero teraz Braun zainteresował się obrazem.

— Niczego sobie, dobra robota, to znaczy chciałem powiedzieć, że podoba mi się. Szkoda będzie zostawić to w muzeum. Zresztą zastanowię się jeszcze.

Obaj parsknęli śmiechem.

W końcu obraz ten kosztował nas przeszło tysiąc dolarów.

— To jest cena bezpieczeństwa Getlera, a może i naszego — odparł Wagner. Nie ma co żałować pieniędzy. To się potem okrutnie mści. Jadłeś już śniadanie?

Braun skinął głową.

— Nawet smaczne i obfite.

— Szkoda, bo ja jestem przed tym miłym obowiązkiem.

Gdy Wagner opuścił pokój, Braun raz jeszcze dokładnie przyjrzał się kopii. Wydawało mu się, że patrzy na ten sam obraz, przed którym spotkał wczoraj Getlera. Podobieństwo było zupełne. Zwinął ostrożnie płótno, a następnie wsunął w specjalnie do tego celu przygotowany futerał. Otworzył swoją walizeczkę i raz jeszcze sprawdził wszystkie ułożone tam przedmioty. Kłódka, komplet wytrychów do otwierania najróżniejszych zamków, latarka, dwa młotki, śrubokręty, spinacz do mocowania płótna na ramie, rękawiczki, ochraniacz na buty, ręczny świder do drewna, trochę oliwy. Kolbę „dezodorantu”, który mógł się przydać do obezwładnienia portiera, schował do kieszeni kurtki. Tam też ukrył maleńki, nasuwany na ucho aparacik, za pomocą którego miał utrzymywać kontakt z Wagnerem. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta.

A więc jeszcze przeszło siedem godzin! — pomyślał. Co ze sobą zrobić, żeby nie analizować, nic trać po raz nie wiadomo który najróżniejszych, nie przewidzianych wariantów. Byle nic myśleć. Myślenie niszczy intuicję, odbiera spokój.

*

* *

Przed godziną osiemną Braun ustalił z Wagnerem sposób porozumiewania się. Wagner miał czekać na pierwszy sygnał między dziewiętnastą a dwudziestą. Obaj zakładali, że o tej porze Braun będzie już w podziemiach muzeum. Następnie w piętnastominutowych odstępach Wagner miał łączyć się z Braunem.

Braun wysiadł z czerwonego audi zaparkowanego na rynku. Minął kilka przecznic i nawiązał próbny kontakt. Miniaturowy aparat nadawczo— odbiorczy działał bez zarzutu. W maleńkim głośniku usłyszał wyraźnie głos Wagnera. Wyregulował natężenie głosu i wrócił do samochodu. Wagner siedział ponuro wpatrzony gdzieś przed siebie.

— Masz jeszcze przeszło pół godziny.

— Tak — przytaknął Braun. — Wiesz, gdzie jest najbliższy telefon.

— Sprawdzone. Jeżeli do dwudziestej drugiej nie zadzwonię do Getlera, przyjedzie to. Będzie stał — wskazał palcem przeciwległy kraniec rynku — o tam, przed księgarnią: To ważne dla ciebie. Gdyby cię cos zatrzymało dłużej.

— Nie sadze — odparł Braun — ale na wszelki wypadek potwierdź mi tę wiadomość.

Podali sobie ręce. Braun wysiadł z samochodu i niosąc skórzany neseser poszedł wolno w kierunku muzeum. Gdy w oddali zobaczył znajomą bramę, przystanął obserwując, czy ktokolwiek wychodzi lub wchodzi do biblioteki. Postał tak przez chwilę, ale nie zobaczył nikogo. Zdziwiło go to trochę, choć zależało mu, by na nikogo nie natknąć się na klatce schodowej, która prowadziła do biblioteki. Spojrzał raz jeszcze na zegarek i ruszył w kierunku zamku. Minął niewielki plac, na którym stało kilka zaparkowanych samochodów, i wszedł w bramę wjazdową. W okienku paliło się światło. Wewnątrz zobaczył pochyloną nad gazetą znajomą sylwetkę portiera. Stał przed wielkimi, masywnymi drzwiami prowadzącymi do biblioteki i poczuł, jak w jednej chwili robi mu się gorąco. Zamiast zabezpieczonej szybą informacji o dniach i godzinach otwarcia biblioteki, zobaczył przymocowaną naprędcę kartkę z krótkim, niezrozumiałym napisem. Nacisnął klamkę i od razu poczuł ulgę. Cholerne nerwy przemknęło mu przez głowę. Przez te kilka lat stracił zimną krew — strofował się w myślach.

Na klatce schodowej było zupełnie ciemno. Natychmiast wyczuł nogą pierwszy stopień schodów prowadzących do piwnicy i teraz krok za krokiem schodził w dół. Przed kratą poczuł się bezpiecznie. Postawił na posadzce neseser i usiadł przy nim. Do siódmej brakowało jeszcze dwudziestu pięciu minut. Otworzył go delikatnie, wyjął z niego kłódkę i wytrychy. W ciemnościach wyczuł najpierw kraty, a potem kłódkę. Sięgnął po wytrychy i zaczął nimi manipulować. Kłódka szybko ustąpiła. Schował ją do walizeczki zakładając identyczną, którą wcześniej kupił w sklepie. W ten sposób otwierał sobie nie tylko wejście do piwnicy, ale jednocześnie zabezpieczał się przed przypadkową wizytą niepożądanego gościa. Znów zerknął na jarzące się zielonymi światełkami cyferki elektronicznego zegarka. Za kwadrans siódma. Przeklinał w duchu wlokący się czas. Marzył o chwili, w której usłyszy zgrzyt zamka w wejściowych drzwiach. Całe ćwierć godziny przed nim. Niemal wiek w tych ciemnościach otulonych grubymi murami.

A może nie czekać na wyjście bibliotekarki? Ryzykować tylko w razie konieczności — przypominał—sobie starą zasadę. Raz jeszcze chciał przeanalizować wszystko, co zaplanował sobie na dzisiejszy wieczór, ale był to wysiłek ponad jego siły. Znał dobrze ten stan. Wiedział, że po powrocie do hotelu długo nie będzie mógł zasnąć. A potem przez cały następny dzień będzie nie do życia. Po powrocie do hotelu? — zastanowił się na moment. Nic. ani na moment nie dopuszczał myśli, że będzie inaczej! Nie śpieszyć się, nie działać bezmyślnie, nie spać łatwej roboty.

Było już po siódmej — pora na nawiązanie pierwszego kontaktu z Wagnerem. Chciał otworzyć kłódkę, wejść do piwnicy i powiedzieć Wagnerowi o przedłużającym się czekaniu, gdy doszedł go jakiś hałas. Ktoś otworzył drzwi, słyszał odgłosy kroków. Oczekał kilka minut, ale kroki nie ustawały. Postanowił zorientować się, co się tam działo, wszedł schodami na górę i zatrzymał się tuż przy wejściowych drzwiach. W smudze padającego z biblioteki światła zobaczył stos leżących na podłodze książek. Młoda, może dwudziestokilkuletnia dziewczyna przenosiła je z korytarza do biblioteki. Mijały długie minuty, w czasie których Braun nabiera pewności, że dziewczyna jest sama. Dochodziło wpół do ósmej. Czas jakby się odmienił pokazując coraz szybciej mijające minuty. Musiał czekać na koniec tej cholernej roboty, która nic wiadomo jak długo mogła potrwać. Gdyby wszystko się nic ułożyło tak jak planowali, Getler mógł wyznaczyć inny termin przekazania obrazu. Tego Braun chciał uniknąć. Jednocześnie coś mu podpowiadało, że nic powinien zaczynać właśnie teraz, gdy ta młoda dziewczyna nosi książki i kiedy może do niej dojść przypadkowy hałas. — Jednak czekać! — postanowił twardo.

Zszedł na dół, otworzył kłódkę i delikatnie odsunął ciężką kratę. Teraz mógł zapalić latarkę. W jej świetle posuwał się wolno piwnicznym korytarzem. Przystanął za jednym z filarów i sięgnął po małe aparaty. Po chwili usłyszał zaniepokojony głos Wagnera:

— Co się z tobą dzieje?

— Wszystko w porządku. Mam mały poślizg — informował Braun. — Nie jestem sam.

Schował aparaty i powrócił do kraty. Schodami wszedł na górę i stąd obserwował wolno malejący stos książek. Minęło jeszcze pół godziny, gdy ostatnia książka zniknęła z korytarzowej posadzki. Po kilkunastu minutach usłyszał na schodach kroki, a potem długo oczekiwany zgrzyt zamka. Spojrzał na zegarek — wpół do dziewiątej. Nie jest tak źle — pocieszał się. Znów odsunął ciężką kratę i gdy znalazł się po jej drugiej stronie, zamknął kluczykiem kłódkę. Posuwał się naprzód za światłem latarki. Odnalazł niszę, z której prowadziło przejście do wiodących na górę schodów. Wreszcie stanął przed zamkniętymi i zabitymi gwoździami drzwiami, za którymi były już tylko sale muzealne. Ostrożnie położył na posadzce walizeczkę z narzędziami i kopią obrazu. Stał chwilę nasłuchując, czy za drzwiami, za którymi znajdował się sekretariat i gabinet dyrektora muzeum, nie ma nikogo. Panowała absolutna cisza. Włączył aparaty i połączył się z Wagnerem.

— Co u ciebie?

— W porządku — usłyszał odpowiedź. — Mijała mnie ta mała.

— Cześć! — skończył Wagner sucho. Odłożył aparat i ustawił tak latarkę, by snop światła padał na zamek. Uparał się z nim w kilka minut. Większe trudności sprawiały mu gwoździe, którymi zabite były drzwi. Przewiercił wokół nich otwory i w ten sposób wyjął je prawie bez hałasu. Teraz czuł, że drzwi ustępują. Schował gwoździe wyjęte z wiórami do torby i białą jak drzwi plasteliną wypełnił otwory po wierceniu. Zerknął na zegarek. To dopiero dwadzieścia minut. Teraz z większym spokojem powkładał wszystkie narzędzia do walizeczki. Oparł się o drzwi i naciskając całym ciałem pchnął je lekko. Ustąpiły z dziwnym trzaskiem, który wydał mu się ogłuszający. Serce biło mu mocno. Zgasił latarkę i kilka minut stał w milczeniu. Gdzieś z oddali dochodził go hałas samochodów. Tu panowała cisza. Zapalił latarkę i ruszył muzealnym korytarzem. Szybko odnalazł obraz. W smudze światła zobaczył dobrze znaną łwarz modlącej się kobiety. Z zaciekawieniem przyglądał się subtelnym i regularnym rysom. Uduchowiona twarz jakby tonęła w chmurach. W tle widać było panoramę wioski z górującą nad nią wieżą kościelną.

Połączenie Botticellego z Rreughlem — przemknęło mu przez myśl. Znal obrazy łych mistrzów. Teraz zastanawiał się, kim mógł być anonimowy autor tryptyku, którego jedna z części wisiała przed nim. — Dziwny „Anonim”, który swoich płócien nie oznaczał żadnym podpisem, żadnym wyróżniającym znakiem. Sięgnął po kopię i przez dłuższą chwilę porównywał oba płótna. Obrazy były identyczne. Przypatrując się im w skąpym świetle latarki nie mógł wyjść z podziwu dla talentu kopisty.

Zdjął delikatnie obraz i położył go na podłodze. Odrywając płótno od ramy ze zdziwieniem spostrzegł, że idzie mu to bardzo łatwo. W pierwszej chwili pomyślał, że obraz mógł niedawno zmienić ramę, ale zaraz przyszła mu do głowy inna myśl. Może stare płótno rozchodzi się w miejscach styku z ramą. Dziwny dreszcz przeszedł mu po plecach. Odwrócił obraz szukając na jego obrzeżu uszkodzeń, ale niczego nie znalazł. Odetchnął zadowolony, ale teraz z większą uwagą i delikatnością odczepiał płótno od ramy. Wreszcie obraz był zdjęty. Zwinął go w rulon i odłożył za siebie sięgając po kopię.

Żeby nie pomylić płócien — szydery uśmiech przeleciał mu przez twarz. Sprawnie przyczepił kopię i wraz z ramą powiesił na ścianie. Dokładnie zebrał maleńkie gwoździki i okruchy farby, a następnie całe miejsce oświetlił latarką. Wszystko było w najlepszym porządku. Zwinięty w rulon obraz schował do walizeczki i sięgnął po aparat. Chciał powiedzieć o wszystkim Wagnerowi, ale w tym momencie doszedł go jakiś hałas. Wydawało mu się, jakby ktoś otwierał kluczem drzwi. Zgasił latarkę i w jednej chwili znalazł się przy drzwiach wiodących do piwnicy. Teraz nie miał już wątpliwości, że oprócz niego ktoś jeszcze był w muzeum.

*

* *

Dochodziła dwudziesta pierwsza, gdy do dyspozytora wpadł porucznik Hilar.

— Nadaj meldunek, żeby ze dwa radiowozy zajechały w okolice muzeum — powiedział zaspany. — Wszystko dyskretnie, żeby nikogo nie wypłoszyć. Niech jeden stanie koło kościoła i zbiera meldunki.

Wyskoczył z pokoju i pokonując po kilka schodów zbiegł na dół. Przywołał kierowcę wiśniowego fiata i już po chwili mknęli ulicami Żywca. Po kilku minutach byli pod zamkiem.

— Niech pan tu zwolni — zwrócił się Hilar do kierowcy. — Bez pośpiechu. Zaparkujemy pod restauracją i przejdziemy do muzeum.

Niespodziewana wizyta dwóch funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i to w cywilu była dla portiera dużym zaskoczeniem. Nie ukrywał swego zdziwienia i zdenerwowania.

— O co chodzi, panowie? Coś się stało?

— Od kiedy pan tu jest? — odpowiedział pytaniem porucznik.

— Od szóstej, to znaczy od osiemnasty

— O której muzeum zostało zamknięte?

— W poniedziałki muzeum jest nieczynne — odpowiedział zmienionym głosem portier.

— Czy ktoś dzisiaj był w muzeum?

— Pan dyrektor, sekretarka i te dwie panie z Muzeum Narodowego w Warszawie. Salowe i bileterka mają dzisiaj wolne.

— Kto ostatni opuszczał muzeum? — dopytywał się Hilar.

— Tego nie wiem. Byłem tu o szóstej. O tej porze nikogo już nie było, to znaczy był tylko mój zmiennik.

— Kto ma klucze do muzeum?

— Ja, to znaczy tu wisi jeden komplet — wskazał na szklaną gablotę wiszącą na ścianie. — Dyrektor też ma — dodał usprawiedliwiającym głosem.

— Gdzie mieszka dyrektor?

— Zaraz obok. Ale ma telefon — sięgnął po zeszyt, w którym odnalazł numer.

— Niech pan poprosi dyrektora, żeby tu zaraz przyjechał — zwrócił się Hilar do kierowcy. — A my — powiedział do portiera — rozejrzemy się po muzeum.

Przeszli ciemnymi schodami na piętro i dopiero tu portier zapalił światło. Otworzył kłódkę przy kracie, a następnie drzwi.

Czy jest jeszcze inne wejście do muzeum? — zapytał Hilar,

— Nie. Tylko to. Zaraz zapalę światła...

— Nie trzeba — powstrzymał go Hilar. — Proszę tylko przymknij te drzwi.

Ruszyli wolno przez pogrążone w ciemnościach salki muzealne. Porucznik oświetlał skrupulatnie wszystkie kąty i zakamarki zamkowych komnat, w których teraz wisiały liczne płótna. Przeszli tak całe muzeum zatrzymując się na samym jego końcu.

— I to wszystko? — odezwał się milczący cały czas Hilar.

— Tak! Teraz się wraca do wyjścia... to znaczy jak się zwiedza...

— Chłodno tu!

— Raczej gorąco, panie władzo... Porucznik skierował światło latarki na twarz portiera. Krople potu spływały z jego czoła. Twarz miał zmienioną.

— Co panu jest? — zaniepokoił się Hilar.

— Nie, nic, już w porządku. Wydawało mi się, że ktoś tu jest. Pan porucznik tak jakoś oświetlał te ciemności. Było mi nieswojo.

— Te drzwi, które mijaliśmy, dokąd prowadzą?

— Donikąd, to znaczy one są zabite. Kiedyś schodziło się nimi do piwnicy i do magazynów. Ale była duża wilgoć i...

Nie dokończył. Pchnięty przez porucznika zwałił się z hukiem na podłogę.

W tym samym momencie wraz z metalicznym trzaskiem odbezpieczanego pistoletu usłyszał:

— Stać! Nie ruszać się!

W świetle latarki, którą porucznik rzucił na podłogę, zobaczyli człowieka z podniesionymi do góry rękami. Hilar podniósł z podłogi latarkę i ze skierowanym do strzału pistoletem zbliżył się do nieznanego.

— To pan dyrektor — usłyszał za sobą głos portiera.

— Panowie! Co tu się dzieje!?

— Niech pan opuści ręce — powiedział przepaszającym tonem porucznik. Zaraz wszystko panu wyjaśnimy.

— W tych ciemnościach? — głos dyrektora pełen był irytacji.

— To pan tu jest gospodarzem.

— W takim razie proszę do mojego gabinetu.

— Chciałem podziękować panu dyrektorowi za szybkie przybycie.

— Głupstwo. Mieszkam dosłownie dwa kroki stąd. Ale wybaczy pan — głos dyrektora zawahał się na moment. — Z kim mam przyjemność?

— Porucznik Hilar z komendy...

Wyszli na korytarz. Dyrektor zmierzył teraz Hilara ostrym spojrzeniem.

— Pan wybaczy, ale pan jest w cywilu.

— Ach tak — uśmiechnął się Hilar. Sięgnął do kieszeni szukając służbowej legitymacji. W tym momencie przypomniał sobie, że zostawił ją w komendzie, w milicyjnej kurtce. Chciał powiedzieć o tym dyrektorowi, ale jego twarz była niezwykle blada, a wzrok utkwiony w jakiś przedmiot. Hilar nie miał już wyboru. Wyciągnął zza pasa zatknięty pistolet i schował do kabury pod pachą.

Wszystko przez ten pośpiech, panie dyrektorze. Legitymacja pozostała w komendzie, a w muzeum to mnie pan nieźle nastraszył.

— Już dobrze, słucham pana — powiedział uspokojony nieco dyrektor.

— Otrzymaliśmy wiadomość, że ktoś dostał się do muzeum.

— Tego by tylko brakowało! — wykrzyknął dyrektor. Właśnie wczoraj otwarto tu ekspozycję obrazów z Muzeum Narodowego. Walczyłem o nią od kilku miesięcy, ale zaraz... — odwrócił się szukając portiera.

— Pan jest tu cały czas, nieprawdaż?

— Od szóstej, panie dyrektorze, ale wszystko w porządku. Przecież bym słyszał.

— Pan zna nową ekspozycję? — zwrócił się HHar do dyrektora.

— Znam, oczywiście, ale pewniejsza będzie dokumentacja. Mam ją w gabinecie. Zechce pan chwilę poczekać.

Porucznik z portierem zostali sami przed drzwiami prowadzącymi do gabinetu dyrektora.

— Może pan wracać do siebie — odezwał się Hilar.

Portier dygnął śmiesznie i pospiesznie podążył na dół. Po chwili zjawił się dyrektor trzymając w ręce kilka luźnych kartek papieru.

— Zapalimy światło — zaproponował.

Szli od obrazu do obrazu, odczytując na zawieszonych kartkach tytuły i odznaczając to w dokumentacji.

Dochodziła jedenasta w nocy. gdy znaleźli się przy kracie drzwi wejściowych.

— Wygląda na to, że wszystko się zgadza — powiedział dyrektor.

— Tak — przytaknął zdawkowo porucznik. — Tylko co może znaczyć otwarte okno?

— Jak to otwarte? — zdziwił się dyrektor. Przeszli z powrotem przez kilka sal i zatrzymali się przed nieznacznie uchylonym oknem.

— Rzeczywiście, nie zauważyłem głoś dyrektora był zażenowany. — Widzi pan, poruczniku, tydzień temu zaczęli grzać, ale przyszło ocieplenie. Jak na obrazy temperatura za wysoka. Mara tu dwie panie z Muzeum Narodowego w Warszawie. Rozumie pan. chciałem uniknąć raportu. Tyk zabiegów, tyle zdrowia, żeby ściągnąć tutaj te obrazy.

— Słowem, polecił pan otwierać je na noc!

— Ależ skąd! — wykrzyknął i zaraz sprostował: — To znaczy tylko dzisiaj, z niedzieli na poniedziałek. Temperatura mogłaby się podnieść o kilka stopni. Wówczas raport gotowy.

— Rozumiem, dyrektorze. Pytam, żeby wyjaśnić moje wątpliwości. Innymi słowy, za tydzień znowu poleci pan otworzyć?

— Za tydzień, poruczniku, będziemy mieli już październik.

— To prawda. Tylko że...

Hilar otworzył okno na oścież i usiadł na jego szerokim na przeszło pół metra parapecie. Wyjrzał za okno i pokiwał wymownie głową.

— Jest i gzyms, jest i piorunochron. Może tu tylko za jasno jak na wymagania niektórych.

— Chciał pan, poruczniku, powiedzieć, że pod latarnią najciemniej! Hilar zaśmiał się sztucznie:

— Tęsknimy za złotą polską jesienią, ale po linii służbowej czekamy na jesienny ziąb.

— Kiedy nie mogę doprosić się klimatyzacji...

— W porządku, dyrektorze. Mam nadzieję, że jutro się spotkamy, żeby dopełnić wszystkich formalności.

— Nie sady pan chyba, że mogłoby się coś jeszcze wydarzyć.

— Muzeum jest pod obserwacją, ale kto wie? Licho nie śpi..,

— My również!

— Najwyższy więc czas na spanie.

*

* *

Słumione odgłosy rozmowy doszły Brauna, gdy był przy piwnicznym wejściu. Ktoś najwyraźniej był w muzeum. Nie mógł się mylić: odgłosy ciężkich stąpań i po dłuższej chwili jakiś okrzyk. Do wyczulonych do ostateczności uszu doszedł znany mu dobrze szcęk odbezpieczanego pistoletu. Zszedł pospiesznie po kilku stopniach w dół i przemknął się wąskim wejściem prowadzącym do piwnic. Nasłuchiwał, czy ktoś będzie próbował otwierać drzwi, przez które przeszedł przed chwilą. Nikt na szczęście nic próbował ich otwierać. Teraz, do jego uszu dochodziły jedynie ledwo słyszalne strzępy rozmowy. W tym momencie uświadomił sobie: że dla „tamtych” drzwi te są zabite. Ale tylko do momentu dokładnych oględzin — zrelektował się zaraz. Czuł się osaczony. Ta dziwna wizyta w muzeum, właśnie teraz, nie wróżyła nic dobrego. Cały gmach z pewnością jest już obstawiony. Wyjście — jak planowali — przez bramę oznaczało teraz pewną wpadkę. Jedyne ratunkiem mogła być biblioteka. Przejsz tam, jak najstaranniej zacierając za sobą wszelkie ślady. I przeczekać do jutra. — A jeżeli przeszukiwać będą cały zamek włącznie z biblioteką? Należało się z tym Uczyć, zwłaszcza w wypadku wykrycia kradzieży. Braun starał się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, jakie zebrał podczas kilku wizyt w muzeum i zamku. Pamiętał o dosyć szerokim gzymsie idącym wokół budynku poniżej okien na pierwszym piętrze. Przejsz do biblioteki, stamtąd gzymsem do piorunochronu... Tylko że zamek z pewnością jest pilnie obserwowany. Wszystko mogło się jeszcze zdarzyć — pocieszał się w duchu, — Byle nie tracić zimnej krwi, a przede wszystkim nie popełnić jakiegoś nierozważnego kroku.

Mijały długie kwadransy, podczas których nasłuchiwał słumionych odgłosów rozmów dochodzących z muzealnych sal. Po pewnym czasie wszystko ucichło. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Sięgnął po aparat postanawiając nawiązać kontakt z Wagnerem. Nacisnął—przycisk; raz, drugi, trzeci, ale odpowiedzią była cisza. Wiedział, że jest zamknięty i osaczony. Tylko czy oni o tym wiedzą. Ten nikły promyk nadziei podpowiedział mu, że nie wszystko stracone. Usiadł na zimnej posadzce opierając się o mur. Czuł zmęczenie. Odpocząć i szybko zebrać myśli. Nagle poczuł ogromne pragnienie i wówczas uświadomił sobie, że wśród kilku możliwości ocalenia ta może okazać się najlepsza. Wstał. Przeszedł długi, piwniczny korytarz i znalazł się przy kracie. Otworzył ją, a następnie po wyjściu zamknął zakładając kłódkę, którą kilka godzin temu zdjął. Stał przed drzwiami wejściowymi i przez chwilę nasłuchiwał. Wokół panowała cisza. Przez owal wziernika widział drzwi i światło dochodzące z okna portierni. Cała brama wjazdowa po-

grążona była w ciemnościach, Odsunął zasuwę i dalej czekał patrząc przez wziernik. Długo się decydował, aż wreszcie uchylił drzwi Szybko, ocierając się o mur, przemknął na zamkowy dziedziniec. Stojąc w ciemnościach, otoczony ze wszystkich stron murami patrzył w perspektywę bramy wjazdowej. Nie było w niej nikogo. Pod stojącym kilkadziesiąt metrów dalej domem także nic było nikogo. Delikatnie postawił walizkę na bruku, a sam skierował się na środek dziedzińca. Pokręcił się chwilę, aż znalazł to, czego szukał. Żeliwna, gruba krata nie pozostawiała wątpliwości, że był to kanał ściekowy. Braun zaklął pod nosem. A więc jednak biblioteka. Chyba, że... Zawrócił do kraty i nachylił się nad nią. W rękach poczuł zimne żelazo. Szarpnął z całych sił do góry. Krata jakby drgnęła, a do uszu Brauna doszedł szelest spadających grudek ziemi. Nasłuchiwał zdziwiony. Raz jeszcze zaparł się mocno nogami i pociągnął. Krata puściła odsłaniając ciemną czeluść. Sypnął w nią odrobiną piasku nasłuchując uważnie, ale nic usłyszał charakterystycznego plusku wody. Zabezpieczając jedną ręką odchyloną kratę spuścił się nogami w dół i poszukał oparcia. Znalazł. Puścił ostrożnie kratę osuwając się w dół. Był już poniżej poziomu zamkowego dziedzińca. Sięgnął po latarkę i w jej świetle zobaczył głęboką, kilkumetrową studnię. Zawrócił po walizkę, po czym wszedł do kanału opuszczając na powrót żeliwną kratę.

*

* *

Było kilka minut po północy. Wagner siedział w hotelowym fotelu wpatrzony bezmyślnie w ścianę. Getler nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Chodził po pokoju wypytując o różne szczegóły, jakby nie chciał uwierzyć w to, co się stało..

— O której ostatni raz miałeś z nim kontakt?

— Mówiłem ci, że gdzieś koło wpół do dziewiątej.

W głosie Wagnera słychać było nutę zniecierpliwienia.

— Zaraz potem — mówił dalej — dwóch facetów w cywilu poszło do muzeum. Po nich przyszedł jeszcze jeden, też w cywilu. Zacząłem kręcić się po rynku i wtedy przyjechał policyjny samochód. Zobaczyłem, co się święci, więc poszedłem do ciebie. To wszystko. Zresztą... — machnął zrezygnowany ręką. — Roztrząsamy po raz nie wiadomo który jakieś drobiazgi, a może to ostatnia pora, żeby wiać,

— Tylko gdzie? — warknął Getler.

— Z Warszawy można dolecieć wszędzie: Nowy Jork, Bliski i Daleki Wschód, Afryka, Australia — rzucił nazwami jak na egzaminie z geografii.

— Widzę, że jesteś przygotowany na wypadek wpadki.

— Jak każdy inny na moim miejscu — odpowiedział Wagner z przekąsem.

— To i tak nie ma sensu. Wszędzie cię złapią.

— Wszędzie — nie wszędzie — przerwał mu zirytowany i najwyraźniej wyprowadzony z równowagi Wagner. — Nie jestem tego taki pewien. Europa to nie cały świat W końcu możliwości Maxa i jego ludzi też są ograniczone. A jeżeli nawet tak nie jest, to nie będę mu szedł jak cielę pod nóż. Po prostu nie mam wyboru.

Getler chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi. Stał w nich Braun. Jego ubranie pobrudzone było jakąś czarną, lepiałą się mazią. Buty i nogawki spodni aż po uda miał mokre. Siał tak chwilę patrząc na wylężnione i zdziwione twarze Getlera i Wagnera.

— Wejdz i zamknij drzwi! — odezwał się pierwszy Wagner.

Braun zamknął za sobą drzwi i stanął na środku pokoju.

— Miejscowa policja o wszystkim wie. Getler pokiwał zrezygnowany głową:

— Musieliście szybko wpaść im w oko. skoro urządzili polowanie właśnie dzisiaj.

Ktoś musiał im dać cynk — powiedział stanowczo Braun. — Nie miałem zbyt wiele czasu by o tym myśleć, ale najbardziej śmierdzi mi Dragon, ten wasz Mecenaz z Warszawy,

— Najbardziej to pan tułaj śmierdzi. No!... niech się pan przebierze, bo trudno wytrzymać.

Wagner zachichotał rzucając porozumiewawcze spojrzenie w kierunku Getlera. Ale ten jakby tego nie zauważył i mówił dalej:

— Dragon nie mógł tego zrobić. Zależy mu bardzo na kontaktach i zamówieniach Maxa.

— Ale przecież on nie miał bezpośredniego kontaktu z Maxem. Wiedział o Maxie, ale w tej sprawie pośrednikiem był Karczewski.

— Dragon jest poza podejrzeniem — upierał się przy swoim Getler.

— A Karczewski? — zapytał Wagner.

— Nic bądź tym pierwszym naiwnym! — powiedział złym głosem Getler.

— Jemu najbardziej zależy, żeby wszystko się udało. Przecież to on skontaktował ze sobą Maxa i Dragona. O: również podsunął Maxowi myśl, żebyśmy załatwiali wszystko z Dragonem. Jeżeli z naszej roboty nici. to Max załatwi się z Karczewskim jeszcze prędzej niż z nami. Dragon straci tylko zamówienia, chociaż Max może go wyeliminować z branży. Tak. Tak. (o jest możliwe.

— Powiedz, co z obrazem — zwrócił się Wagner do Brauna.

— Obraz jest w bezpiecznym miejscu.

— To znaczy gdzie? — wrzasną! Getler.

— Panowie! — zaczął spokojnie Braun. — To, co robimy, ma pewne luki. Co gorsza, nie wiemy gdzie one są. Miejscowa policja, czy jak ją tam zwał — milicja. coś węszy. Cały zamek jest pod obserwacją, kiedy wracałem do hotelu, zatrzymało mnie dwóch ludzi w mundurach. Byłoby dużym niebezpieczeństwem iść teraz po obraz.

— A więc go mamy! — ucieszył się Wagner.

— Prawie — stonował go Braun.

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Getler. — Powiedział pan. że milicja coś węszy. To znaczy obraz jest poza muzeum, a oni jeszcze o tym nie wiedzą.

— Tak sędzę, panie Getkr. Nie znam polskiego, ak zorientowałem się, że sprawdzono całą ekspozycję.

— Może to tylko jakaś kontrola?

— To po co by obstawili cały zamek!?

— To może panowie zgodzicie się wreszcie, że ktoś nas sypnął — rzekł Bnian.

Zapanowało niezręczne milczenie. Wszyscy trzej próbowali znaleźć odpowiedź tłumaczącą nieprzewidziane zdarzenia, jakie miały miej we w ciągu ostatnich kilku godzin.

— Jedziemy na tym samym wózku — powiedział usprawiedliwiająco Wagner.

— To nie o to teraz chodzi — głos Getlera pełen był zdecydowania.

— Być może. ktoś sypnął, ale mogli również coś zwęszyć. W każdym razie nie mamy wyboru. Sądzę, że nic wykryli jeszcze kradzieży. Póki mamy nad nimi tę przewagę, musimy się spieszyć. Panu — zwrócił się do Brauna — zależy oczywiście na czeku. Sądzę, że teraz — wręczył Braunowi podłużną, zadrukowaną kartę — dostarczy nam pan obraz.

— Pan się myli, panie Getler. Nie o pieniądze teraz. chodzi. Obraz jest w kanak, zaledwie kilkaset metrów od muzeum.

— Ale kiedyś trzeba go stamtąd zabrać!

— To prawda, ale teraz jest to najbardziej ryzykowne — odparł Braun.

— Za to później odkryją kradzież i przez granicę nie przecisnie się nawet mysz.

— Jestem w takim razie do dyspozycji — odparł Braun.

— Niech pan nie będzie laki sprytny. Mógł pan tu przyjść bez obrazu, to i z obrazem pan przyjdzie. W końcu pan miał dostarczyć „Anonima”. Pan!

— Nie tak ostro. Karl! — odezwał się Wagner. — Pójdziemy razem, bądź rozsądny. Wiesz, jaka jest stawka.

— Najlepiej będzie, jak pojedziemy — wtrącił Braun.

Popatrzyli na niego zdziwieni, a on wyciągnął kartkę szkicując na niej jakiś plan. Gdy skończył, podał go Getlerowi.

—Pojedzie pan za nami w rozsądnej odległości, a następnie zatrzyma się pan dokładnie w tym miejscu, gdzie my przystaniemy. Będzie pan stał nad włazem kanału tak długo, aż otrzyma pan sygnał.

— I co wówczas?

— Może pan jechać, gdzie się panu podoba. Najlepiej do Wiednia.

— Nic z tego nie rozumiem. A gdzie obraz?

—Będzie już w pańskiej skrytce.

Gdy siedzieli już w samochodach, Wagner zapytał Brauna:

— Jak ty to wszystko wymyśliłeś?

—Zwykły przypadek. Dzięki niemu mamy obraz.

— Rozumiem, że nie wyszedłeś przez bramę. Braun spojrzał karcąco na Wagnera.

— Zapomnieliśmy w naszej robocie o tym, że niemal każdy zamek miał na swym dziedzińcu studnię. Luki w wykształceniu!

— Ale przecież tam żadnej studni nie było — oponował Wagner.

— Owszem, był, ale wlot ściekowy,

— Ja też tak myślałem! — odparł Braun.

*

* *

Porucznik Hilar zjawił się w komendzie wyjątkowo wcześnie. Dochodziła dopiero ósma. Kilka godzin snu przywróciło mu siły i świeżość. Jednak cała nocna eskapada do muzeum nic dawała mu spokoju. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było zaparzenie mocnej kawy. Dopiero, gdy aromatyczny napój stał na biurku, zabrał się za lekturę meldunków, jakie w ciągu ostatniej nocy zebrali funkcjonariusze milicji, pełniący tej nocy służbę wokół zamku. Jego uwagę zwróciły przede wszystkim wynotowane numery samochodów napotkane w pobliżu muzeum. Większość z nich miała rejestrację miejscową. Cztery samochody miały rejestrację katowicką, jeden warszawską i krakowską. Był również jeden samochód z Niemiec Zachodnich — czerwony audi. Hilar zaczął wydzwaniać po wojewódzkich komendach milicji ustalając tożsamość właścicieli pojazdów, goszczących tej nocy w Żywcu. Gdy ustalił, że biały polonez jest samochodem wynajętym przez obywatela z Niemiec Zachodnich, natychmiast połączył się z milicyjnym radiowozem. W słuchawce radiotelefonu usłyszał zachrypnięty głos:

— Zgłasza się 07.

— Macie jakieś informacje o czerwonym audi?

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym ten sam zachrypnięty głos odpowiedział:

— Ustaliliśmy, że stał na rynku pod hotelem. Podobno tam jeszcze jest.

— Ustalcie to natychmiast i zaraz meldujcie. Poza tym, czy macie coś na temat białego poloneza, numer rejestracyjny...

— A tak! Pamiętam. Powinien stać pod hotelem „Beskid”. Parkuje tam od kilku dni.

— Ale czy dziś tam jeszcze jest?

— Zaraz sprawdzimy.

Mijały długie minuty. Może to wszystko zwykły zbieg okoliczności — zastanawiał się Hilar. — Dwóch zagranicznych turystów w pobliżu muzeum o dość nietypowej porze! To należało jednak wyjaśnić.

Zadzwoił telefon.

— Z porucznikiem Hilarem — poznał głos dyrektora muzeum.

— Dzień dobry, panie, dyrektorze.

— Jak to dobrze, że pana zastałem. Niestety — kradzież. Dosyć cenne płótno, tzw. „Anonim”. Ustaliśmy... — Niech pan przyjedzie. To była chytra podmiana.

— Dobrze, dyrektorze — zaraz tam będę. Poderwał się z krzesła narzucając na plecy przeciwdeszczowy płaszcz. Sprawdził dokumenty i nagle uświadomił sobie, że czeka na meldunek z radiowozu. Szybko uzyskał z nim połączenie i z nie ukrywaną niecierpliwością powiedział:

— Ale się guzdracie. Długo to jeszcze potrwa?

— Właśnie mieliśmy, poruczniku, meldować. Wszystko się zgadza. To czerwone audi stoi przed hotelem „Orzeł”. Biały polonez wyjechał niedawno sprzed „Beskidu”.

— Niedawno, to ile u was jest? — irytował się Hilar.

— Pół godziny, może czterdzieści minut — nie więcej. Już nadałem komunikat. Zaraz będziemy wiedzieli, gdzie jest.

— Będę się z wami łączył, a tego audi nie spuszczać z oka.

Rzucił słuchawkę i ogromnymi susami zbiegł na dół, do swego „malucha”. Z piskiem opon ruszył kierując się w kierunku hotelu „Beskid”. Muzeum może trochę poczekać — usprawiedliwiał się przed samym sobą. Po chwili był na hotelowym parkingu. Niedbale, tarasując przejazd, zostawił samochód i pobiegł do recepcji. Od młodej dziewczyny, mającej tego ranka dyżur, dowiedział się, że właściciel białego poloneza, pan Karl Getler, uregulował należność za nocleg i opuścił hotel przed godziną.

— Przed godziną!? — krzyknął zmartwiony Hilar. — Bardzo się spieszył?

— Raczej nie! — odpowiedziała dziewczyna. — Tacy goście jak on z reguły nie spieszą się.

Hilar czuł, że czas biegnie dla niego szybciej niż kiedykolwiek.

— Pan wybaczy — głos recepcjonistki przybrał urzędowy ton. — To jest hotel, a nie biuro informacji.

Hilar pobiegł w kierunku drzwi wyjściowych. Odprowadzał go zdziwiony wzrok dziewczyny.

— Tak będzie szybciej — wymamrotał pod nosem.

Po kilku minutach był koło radiowozu stojącego nie opodal muzeum.

— Macie tego poloneza?

— Jeszcze nie, poruczniku, ale to kwestia czasu.

— Zawiadomcie komendę! Niech ktoś pojedzie do muzeum. Poza tym trzeba powiadomić centralę o kradzieży cennego obrazu. Zanim oni zablokują przejścia graniczne, spróbujcie sami jak najszybciej połączyć się z Cieszynem. Niech zatrzymają tego białego poloneza do mojego przyjazdu.

— Jeżeli polonez akurat tam pojechał przytomnie odpowiedział milicjant.

Hilar nie słyszał już tego. Wskoczył do swego „malucha” i ruszył w stronę Cieszyna — najbliższego przejścia granicznego. Drogę znał na pamięć, ale dziś wydawała mu się węższa i dłuższa. Wiedział, że bije swój rekord trasy. Słyszał zanikające klaksony mijanych „na styk” samochodów. Chwilami wydawało mu się, że na kolejnym wzniesieniu, gdzieś w oddali, widzi biały, maleńki punkcik — poloneza z warszawską

rejestracją. Jeszcze bardziej zwiększał wtedy szybkość, by po kilku minutach karkołomnej pogoni przeżyć kolejne rozczarowanie.

Przed mostem granicznym w Cieszynie czekał na Hilara szef służby celnej.

— Co z polonezem? — zapytał Hilar bez żadnych wstępów.

Tamten rozłożył bezradnie ręce.

— Najpierw był polonez, a potem wasz telefon.

— Szkoda, że nie na odwrót — powiedział Hilar już bez pośpiechu i ściszym głosem.

*

* *

Kierowcy jadący tego dnia trasą od przejścia granicznego na Dunaju do Wiednia widzieli przed południem na skraju szosy biały samochód marki „Polonez”. Stał w przechyle na podnośniku, jakby w oczekiwaniu na 2inianę koła. Dziwny to był widok: kierowca, dosyć tęgi jegomość, przyglądał się czemuś. Twarz jego promieniała radością.

Po kilkunastu minutach obok poloneza zatrzymał się policjant z wiedeńskiej pomocy drogowej. Widząc obce znaki rejestracyjne na migi próbował zaoferować pomoc.

— Nie, nie trzeba. Wszystko jest w najlepszym porządku — odpowiedział z wiedeńskim akcentem kierowca poloneza.

Zdziwiony policjant wsiadł na powrót na swoją ogromną yamachę i odjechał w kierunku Wiednia. Tubalne odgłosy jego maszyny mieszały się z gardłowym śmiechem Karla Getlera.

W zupełnie innym nastroju przekraczał progi komendy w Żywcu porucznik Hilar. Pechowy zbieg okoliczności odebrał mu nie tylko humor, ale zwykłą pewność siebie.

— Dobrze, że jesteś — usłyszał głos mijającego go kolegi. — Stary na ciebie czeka i to już od dość dawna.

Teraz się dopiero zaczniesz. Jak na początek tygodnia to nieźle — myślał.

W sekretariacie komendanta zobaczył dyrektora muzeum. Jego twarz była blada i wymizerowana. Oczy zamyślane. Spojrzenia ich spotkały się. Hilar chciał coś powiedzieć, ale tamten zwiesił głowę. Na widok zasepionej twarzy Hilara pułkownik parsknął śmiechem.

— Szczęściarz z was, poruczniku Hilar. Nieczęsto zdarzają się podobne przypadki.

Hilar otworzył szeroko oczy i chciał o coś zapytać, ale pułkownik nie dał mu dojść do słowa.

— Mamy człowieka, który poinformował nas, że w muzeum są złodzieje.

— Cóż to w tej chwili może zmienić, panie pułkowniku?

— O tym, że z muzeum skradziono, to znaczy zabrano obraz, oczywiście wiecie, poruczniku Hilar?

Przytaknął lekceważąco. Sądził, że „stary” będzie miał coś ciekawszego do powiedzenia. Pułkownik tymczasem wstał i sięgnął po małe zawiniątko.

— O, tu jest ten obraz z muzeum — powiedział, podając Hilarowi zwinięte w rulon płótno. — Sprawa była prosta: po odgromniku na gzyms, a stamtąd przez otwarte okno do muzeum.

W jednej chwili Hilar przypomniał sobie zmartwioną i zrezygnowaną twarz dyrektora muzeum. Przypomniał sobie również nocną rozmowę w muzeum i skargi dyrektora bezskutecznie dopominającego się zainstalowania w muzeum klimatyzacji.

— Kiedy to się stało? — zapytał nie kryjąc zaciekawienia.

— W niedzielę wieczorem, zaraz po zamknięciu muzeum.

— Czyli mamy obraz i złodzieja!

— I tak, i nie, poruczniku. Chłopak upiera się, że jedynie zabezpieczył obraz przed kradzieżą.

— Naiwny sposób obrony — stwierdził chłodno Hilar. — To my jesteśmy od zabezpieczania przed kradzieżą. A co mówi ten człowiek, który telefonicznie powiadomił nas o kradzieży, to znaczy o złodziejach?

— To jest ten sam człowiek. Najpierw dostał się przez otwarte okno do muzeum, zabrał oryginał, a potem przekazał nam wiadomość, że w muzeum są złodzieje.

— Ale przecież zaraz po tym telefonie byłem na miejscu... również dyrektor muzeum.

— No tak! — kiwnął głową pułkownik. — Kradzieży nie mogliście stwierdzić, bo to przekraczało wasze możliwości, i o to trudno mieć do was pretensje. Zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy.

Pułkownik wstał i podszedł do małego stolika stojącego w rogu gabinetu. Odchylił leżący na nim arkusz papieru pokazując Hilarowi czarną walizeczkę i narzędzia, wśród których leżał mały aparacik nadawczo—odbiorczy typu walkie—talkie.

— To wszystko znaleźliśmy dzisiaj rano w kanale odchodzącym od zamkowej studni. Wyście, Hilar, byli wtedy w Cieszynie.

— Czyli mój trop był fałszywy?

— Niezupełnie — odpowiedział pułkownik. — Według tego, co mówi ten chłopak, trop był prawdziwy, tylko obraz był fałszywy. Ekspertyza jedynie by to potwierdziła.

— Skoro ten chłopak wiedział o kradzieży, dlaczego nas o tym nie powiadomił wcześniej? — dopytywał się Hilar.

— Twierdzi, że nie był do końca o tym przekonany. Podejrzał ten skok i odpowiednio się w związku z tym przygotował. Poza tym powiedział coś takiego: „Teraz jestem z nimi kwita”.

— Czyli był z nimi związany?

— To wszystko, poruczniku, musicie wyjaśnić. Również i to, dlaczego drzwi do biblioteki były ostatniej nocy otwarte.

Hilar wstał. Przeszedł szybko przez sekretariat. Miął siedzącego tam dyrektora i skierował się do pokoju dyżurnego.

— Przyślijcie mi tego... no jak mu tam, co dzwoni! w sprawie złodziei w muzeum.

— Siedzi, poruczniku, W pokoju obok.

Hilar wszedł do niewielkiego pokoju. Na krześle pod oknem siedział niepozornie wyglądający chłopak. Porucznik usiadł za biurkiem i rozłożył służbowy notes.

— Nazwisko i imię — zaczął sucho.

— Zygmunt Sobolewski.

— Zawód?

Chłopak wzruszył ramionami.

—Pisz pan — bez zawodu.

— To z czego żyjecie?

— Kopiuję obrazy.